

Piotr Trzebuchowski

DETEKTYW KRIS. WZLOT



NOVAE RES

Piotr Trzebuchowski

DETEKTYW KRIS WZLOT



NOVAE RES

Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych postaci i nazwisk
jest w tym tekście najzupełniej przypadkowe.

Spis treści

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[ROZDZIAŁ XVI](#)

[ROZDZIAŁ XVII](#)

[ROZDZIAŁ XVIII](#)

[ROZDZIAŁ XIX](#)

[ROZDZIAŁ XX](#)

[ROZDZIAŁ XXI](#)

ROZDZIAŁ XXII

ROZDZIAŁ XXIII

ROZDZIAŁ I

Słońce paliło w kark, niebo było popielate, jak zwykle przez ostatnie dwa tygodnie. Garus rozpoczął spacer po bulwarze. Tak naprawdę wybierał z koszy na śmieci puszki i butelki na sprzedaż, ale wciąż mówił na ten proceder „spacer”, kiedy ze sobą rozmawiał. A rozmawiał przeważnie tylko ze sobą, bo mimo wszystko nie czuł się jeszcze w pełni menelem.

Miał czterdzieści dwa lata, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, jasny zarost i włosy, niebieskie oczy i był, jak kiedyś mu powiedziano, dobrze zbudowany. Do tego czoło wysokie, brwi gęste, teraz krzaczaste, broda niegolona od miesiąca, dzika i siwiejąca. Poruszał się szybko i cicho, no i zawsze miał do ust przyklepiony taki nieśmiały, ledwo widoczny uśmiech. Kiedyś ten uśmiech gwarantował mu powodzenie u dziewczyn, ale to było dawno.

Znał wielu gości ze schroniska, w którym nocował w czasie mroźnych zim i kiedy mimo wszystko w altance było za zimno. Klucz do altanki dostał dwa lata temu od kobiety, która jeszcze w liceum była w nim zakochana. Poznała go, choć miał siwiejącą brodę, był chudy jak wiór i byle jak ubrany. Ona też się zmieniła, utyla i przypominała te kobiety, którym się średnio powiodło. Czyli nie zrobiła kariery, ale skończyła studia, jej mąż nie był bogaczem, ale miał pracę,

z nastoletnimi dziećmi miała kłopoty, ale nie większe niż inni.

Spotkali się kiedyś na parkingu wielkiego hipermarketu. Parking był podziemny i zaparkowała akurat koło betonowego bloku, na którym siedział. Obok położył siatkę z zebranymi puszkami aluminiowymi, a usiadł, bo powybierał już wszystkie puszki i butelki z koszy na śmieci na tym parkingu, a na dworze padało.

Palił więc papierosa, kiedy Weronika wysiadała i ich spojrzenia spotkały się. Ona poznała go pierwsza.

- Krzysiek? - spytała z niedowierzaniem.

- Tak... To ty, Wenia?

- Wenia, Wenia. Co słyhać? - spytała i natychmiast to pytanie wydało się jej niestosowne. Zaczerwieniła się.

- To, co widać, Weńka, jestem na dnie. Miałem żonę i dziecko, i pracę też, i nagle przestałem mieć, tylko takie życie mi zostało...

Nie wstydziła się go, przytuliła, pocałowała, potem wzięła do kawiarni w markecie, wypili kawę, zjedli ciastko. Musiał jej obiecać, że jak nie będzie sobie zupełnie radził, to do niej zadzwoni.

I zadzwonił po pięciu miesiącach. Była zima, padało, a on nie miał się gdzie podziać. Wiele mu dać nie mogła, ale dostał ten klucz do altanki na działce. Do marca podobno i tak nikt tam nie zaglądał. W tamtej sytuacji było to dla niego zrządzenie losu.

Do altanki przychodził ukradkiem po zmroku, nie palił światła, ale do nastania mrozów było tu bardzo wygodnie. Grzałką robił sobie herbatę, czasem zupę z proszku, która do świeżego chleba smakowała wyśmienicie. I spał wtedy wspaniale po ciepłym posiłku, śniąc szczęśliwą przeszłość.

Zima była w tamtym roku lekka i Krzysztof przetrwał ją całą w altance. Z wdzięczności, kiedy na wiosnę się wyprowadzał, w pudełku z herbatą, które znalazł w altance na półce, zostawił karteczkę. Na karteczce narysował serce przebite gęsim piórem. Był to tajny znak ich miłości z czasów szkolnych.

Kiedy jesienią wprowadzał się znów do altanki, zastał tam radio z magnetofonem, a w nim „ich” kasetę. To była kasetka z piosenkami Niemena. Właśnie te nagrania „leciały”, kiedy wyznali sobie dożgonną miłość na jakiejś imprezie klasowej. Traktował ją jak świętość, puszczał bardzo rzadko i tylko przy specjalnych okazjach. Bo co by zrobił, gdyby magnetofon się zepsuł i taśmę wciągnęło?

Kiedy przychodził mróz, Krzysztof zgłaszał się do schroniska. Nienawidził tej wielkiej sypialni z piętrowymi łózkami, gdzie nikt nigdy nie mógł być sam, ale tu było ciepło i dawali rano kawałek chleba i kubek kawy. Jednak gdy tylko termometr za oknem schroniska szedł w górę powyżej pięciu stopni, zmywał się stamtąd i wracał do altanki.

Spojrzał na bulwar, który miał około trzech kilometrów długości. Odczytał to kiedyś z jakiejś mapy. Kiedyś, dawno temu przeglądał tu kosze na śmieci i raz opadło go jakichś

dwóch podobnych do niego obdartusów.

- Zmywaj się stąd, to nasz rejon - wysyczał ten większy.

- Mowy nie ma. Będę zbierał tam, gdzie chcę, nikomu nic do tego - powiedział Krzysztof.

Ten mniejszy stał z boku, a większy się zamachnął, chcąc uderzyć. To był jego wielki błąd. Pół minuty później leżeli obaj, jeden ze złamanym nosem, drugi ze złamanym piszczelem i rozbitym łukiem brwiowym, przywaleni ciężką, betonową ławką. Wystraszeni spacerowicze rozbiegli się, ktoś dzwonił po policję. Krzysztof wbiegł schodkami pod Kamienną Górę i zaraz wsiadł w autobus na działki. Na bulwarze nie pokazywał się przez dwa tygodnie.

Od tamtej pory miał ksywę Garus i wszyscy go unikali. Kiedy penetrował kosze na śmieci w „cudzych” rejonach, udawali, że go nie widzą. Nawet w czasie mrozów, gdy nocował w schronisku, dwa sąsiednie łóżka były zawsze puste.

Krzysztof westchnął, potrząsnął swoją siatką, w której dźwięczały dopiero dwie znalezione puszki, i ruszył do pierwszego kosza. Nie było tam nic dla niego, więc usiadł na ławce na chwilę, żeby posłuchać mew i popatrzeć na ludzi.

Wrócił myślami do „swojej” altanki. Ponieważ oszczędzał ulubioną kasetę, zaczął wtedy słuchać po nocach radia. Zasypiał i budził się przy radiu, aż w końcu zaczął rozumieć, co się dzieje w polityce i gospodarce, kto jest kto i dlaczego.

Nie był naiwny, wiedział, co jest grane, nigdy nie wierzył

w to, co podawano w radiu i TV. Z jego rocznika w oficjalne brednie nie wierzył nikt. Była niby wolność i niby demokracja, ale niedouczeni spikerzy nie ukrywali, co o kim sądzą, uczyli słuchaczy, kto jest dobry, a kto nie, i w co ma wierzyć prosty lud w roku dwa tysiące czternastym.

Wspominał swoją młodość. Załapał się jeszcze do powszechnej służby wojskowej, a komisja skierowała go do wojsk powietrzno-desantowych. To był strzał w dziesiątkę. W ogóle nie odczuwał strachu przed pierwszym skokiem ze spadochronem, a w strzelaniu czy walkach wręcz nie miał sobie równych. W jego tarczy na strzelnicy zawsze było najmniej przestrzałów, bo kilka kul przelatywało przez tę samą dziurę, a sparring partner, który na niego trafił na treningach walki wręcz, miał prawdziwego pecha: leżał po kilku sekundach bezradny, z nożem przyłożonym do grdyki czy unieruchomiony i przegrany.

Lubił też urlopy, gdy był w mundurze kaprała i w czerwonym berecie. Prezentował się świetnie, biły od niego siła i pewność siebie. Właśnie w tym mundurze poznał Iwonę. Na to bolesne wspomnienie machnął ręką i wstał z ławki.

Wyjął z siatki wyrzuconego hamburgera, którego znalazł w jakimś koszu, i pokruszył go ptakom, a te natychmiast zleciały się zewsząd.

Ruszył znów wzdłuż bulwaru. Przy następnym koszu miał trochę szczęścia, znalazł kilka puszek po piwie. Rozgniół je nogą na płasko i włożył do siatki. Żwawiej podszedł do

następnego.

Pojemnik stał blisko ławki, przy falochronie bulwaru. Zawartość zasłaniała wielka torba po chipsach. Krzysztof podniósł ją i zobaczył leżący w koszu telefon komórkowy. Zaskoczony wyjął go. Telefon był włączony, był to nowoczesny smartfon Nokii, który znał z tygodników. Ktoś ukradł i wyrzucił! – pomyślał, a telefon nagle wydał z siebie dźwięk. Była to jakaś znana, stara melodia ustawiona prawdopodobnie jako dzwonek.

Krzysztof rozejrzał się. Najbliższa para spacerowiczów znajdowała się dwieście metrów dalej. Machinalnie nacisnął na ekranie symbol słuchawki i przyłożył telefon do ucha.

– Garus! W tym samym koszu w puszcze po carlsbergu jest dla ciebie dwieście złotych. Weź je i czekaj. Zadzwoń za pięć minut.

Zanim zrozumiał, co słyszy, połączenie przerwano.

Zajrzał znów do śmietnika. Wyjął kilka puszek po piwie. Te inne znowu spłaszczył butem, a puszkę po carlsbergu wziął do ręki i usiadł na ławce. Z kieszeni wydobył kozik z piętnastocentymetrowym ostrzem z blokadą. W sklepie, w którym kupił go jeszcze w lepszych czasach, miał nazwę „Rambo”. Ostrze było grube na trzy milimetry, do tego piłka, rękojeść z metalu. Nie rozlatywał się, choć często nim rzucał z różnych odległości do grubej dechy na działce.

Spojrzał na parę spacerowiczów, których zauważył przedtem, ale oddalali się, więc bez obawy, że kogoś

wystraszy nożem, rozciął cienką blachę puszek. Tak jak powiedziano, w puszcze czekało na niego dwieście złotych. Schował je razem z nożem do kieszeni i spojrzał na telefon. Za chwilę ekranik rozświecił się i stara melodia znów przekrzyczała kląskanie mew.

- Garus, na razie o nic nie pytaj. Kup ładowarkę do tego telefonu. Telefon jest anonimowy, na SIM card. Ma być zawsze na *stand by*, karta doładowana, bateria też. Będiesz dla mnie pracował. Jak się zgodzisz, oczywiście. Zadzwoń niedługo. Z resztą forsy zrób, co chcesz. *Out!*

Krzysztof siedział przez dłuższą chwilę i myślał.

- Mam pracę - powiedział do siebie sarkastycznie.

W końcu wstał i ruszył.

Doszedł do końca bulwaru, solidnie czyszcząc kosze z puszek i myśląc. Potem poszedł na halę, gdzie kupił za parę złotych używaną ładowarkę do swojego nowego telefonu. Załadował też kartę za dwadzieścia złotych. W second handzie kupił sobie używaną, wytartą skórzaną bluzę, sportowe buty, T-shirt i dżinsy.

Skierował się w stronę dworca, kupując po drodze piankę do golenia i nożyki. Za pięć złotych wynajął na dworcu kabinę prysznicową. Obciął pożyczonymi nożyczkami brodę, ogolił się i porządnie wykąpał. Stare ciuchy zapakował w reklamówkę i poszedł do schroniska.

Żył w dobrej komitywie z portierem. Zostawił mu w depozycie reklamówkę z ciuchami i spytał, czy będzie mógł

od czasu do czasu nabić baterię w telefonie. Nie było problemu. Miał za to polatać z psem portiera, bo ten miał problemy z chodzeniem.

Krzysztof zaraz podłączył ładowarkę, a kiedy telefon był naładowany, poszedł do skupu i sprzedał zebrane puszki i butelki, budząc sensację swoim nowym wyglądem.

- No, Garus, wyglądasz jak biznesmen jaki albo co? - podziwiał właściciel skupu.

- Trzeba kiedyś stanąć na nogi.

Krzysiek za cholerę nie mógł zrozumieć, co właściwie się stało. Sprawdzał wiele razy, czy to nie sen, ale był zawsze człowiekiem racjonalnym. Podejrzewał jakieś oszustwo, ale właściwie nic nie ryzykował. Tamten powiedział, że wszystko będzie dobrze, o ile on w ogóle chce. A chciał bardzo.

Ciało go nie swędziało z brudu, przechodnie nie uciekali przed jego spojrzeniem, nawet niektóre kobiety patrzyły na niego zachęcająco. Nic więc nie stracił, a zyskał parę dni normalności. Na wypadek następnej rozmowy miał jednak przygotowane parę pytań i zastrzeżenie. Nie bierze udziału w niczym, co by się wiązało z narkotykami. Więcej uwag nie miał.

Podejrzewał, że tajemniczy dobrodziej chce go zatrudnić jako ochroniarza i nie miał nic przeciwko temu. Myślał nawet, że może mocodawca w jakiś sposób chce go „wypróbować”, zanim da mu pracę, bo przecież na

ochroniarza nie każdy się nadaje. Krzysztof nadawał się wyjątkowo, bo choć miał inny zawód wyuczony, to był urodzonym wojownikiem.

Jego dotychczasowe życie nie uległo zmianie. Dalej zbierał puszki i sypiał teraz, latem, w opuszczonej, niedokończonej willi, której właściciel porzucił budowę i wyjechał za granicę. Gotował na kocherze albo żywił się hot dogami, czasem z kolegami pozwalał sobie na „Napój alkoholowy Brzoskwinia”. Litrowa butelka kosztowała pięć sześćdziesiąt i smakowała jak kompot brzoskwiniowy, ale lekko „kopała”. Z kolegami nie wdawał się w zbyt szczere rozmowy, ot tyle, żeby koszty „napoju” równo podzielić i umówić się na następne „picie”.

Nosił już dwa tygodnie telefon w kieszeni i trochę się niecierpliwił, że ciągle nic. Nauczył się go dobrze obsługiwać, bo przypadkowo, po dotknięciu jakiegoś klucza, wyświetliła się instrukcja obsługi. Sprawdzał często, czy nie było telefonu albo czy przypadkowo nie ściszył dzwonek, ale wszystko było w porządku.

Często chodził na plażę. To było bardzo przyjemne i za darmo. Kładł się na swoich ubraniach i wystawiał do słońca. Wyglądał jak heros, bo ostatnie trzy lata biedy pozbawiły go tłuszczu. Miał szczupłą sylwetkę, która zwiastowała siłę. Pływał dobrze i ostro. Kiedy wracał z wody, wiele pań oglądało się za nim z zainteresowaniem. Jak większość ludzi, którym brakuje wszystkiego oprócz wolnego czasu, był dobrze opalony. A jak zamykał oczy, wspominał bezpieczne

dzieciństwo, kiedy leżał na plaży z rodzicami, wśród krzyków innych dzieci, w woni olejków do opalania.

I kiedy tak właśnie w połowie sierpnia wspominał piękne chwile dzieciństwa, telefon odezwał się znowu.

- Garus, mam dla ciebie pracę. Będziesz eskortował kogoś. Ta osoba ma nie wiedzieć, że jest chroniona. To kobieta. Pojutrze o dwunastej w południe wyjdzie z lombardu na Zygmuntofskiej z walizeczką. Bardzo cenną walizeczką. Wsiądziesz w taksówkę na postoju obok. Masz wziąć drugą taksówkę i jechać za nią, aż na dworzec kolejowy. Potem wsiądziesz do pociągu do Szczecina i cały czas będziesz jej pilnował. Na dworcu w Szczecinie odprowadzisz ją do taksówki i możesz wracać do domu. À propos domu, wynajmiesz pokój gdzieś nie za blisko centrum. Dostaniesz pieniądze na wynajem na rok z góry. I pięć tysięcy złotych za eskortę. Rano zadzwonię i ci powiem, gdzie gotówka będzie na ciebie czekać. Pytania?

- Tylko jedno. Czy w walizce nie ma narkotyków?

Z drugiej strony usłyszał krótki śmiech.

- Nie. Jakiś kompleks? Nie byłeś przecież ćpunem?

- Nie. A skąd pan wie?

- Wiem. Do usłyszenia jutro.

Krzysztof zszedł z plaży i ruszył do miasta. Myślał o poleceniu „szefa”, jak go sam nazywał.

Po piętnastu minutach marszu znalazł się na ulicy

Zygmuntowskiej przed lombardem. Był to dość duży sklep z zakratowanym oknem i grubą, pancerną szybą chroniącą wystawę. Za szybą, na półkach leżały dziesiątki złotych monet - dwudziestodolarówek, krugerandów, a nawet starych rublówek z carskiej Rosji. Odszedł po paru minutach, żeby nie zwracać na siebie uwagi i znalazł gazetę, dzisiejszy „Dziennik”, który ktoś zostawił na ławce na skwerku. Poszukał innej ławki w cieniu i zagłębił się w ogłoszeniach.

Znalazł dwa pensjonaty czy hoteliki, które mogły mu się nadać na wynajęcie pokoju. Oba na Grabówku.

Marsz tam zajął mu dwadzieścia minut. Jeden prywatny hotelik był na ulicy równoległej do Morskiej, drugi przy samej Morskiej. Na obu wypisane było *Zimmer frei*, nie wiadomo dlaczego po niemiecku.

Sprawdził przez telefon ceny w obu. Za dzień teraz, latem, chcieli po osiemdziesiąt złotych, ale za miesiąc, z perspektywą wynajęcia na rok, po pięćset złotych za pokój z łazienką plus media. To już zupełnie nieprawdopodobne. Będę miał mieszkanie - myślał zadowolony. Wyjął z portfela jedyne dokumenty, jakie mu zostały z normalnego życia, które skończyło się trzy lata temu. Był to dowód osobisty z zapisem „bez adresu” i prawo jazdy. Oba, starannie przechowywane w plastikowej torebce, wyglądały jak nowe.

Telefon odezwał się o ósmej rano.

- Ile czasu potrzebujesz, żeby dojść na bulwar?

- Dwadzieścia minut.

- Twoje pieniądze będą czekały na ciebie w tym koszu, gdzie ostatnio, w pudełku po czekoladkach. Weź je dokładnie o ósmej trzydzieści. Reszta jak umówione - słuchawkę odłożono.

Krzysztof był na bulwarze o ósmej piętnaście. Biegł prawie, żeby zobaczyć w końcu swojego pracodawcę. Na bulwarze było pusto, bo mżyło, i z daleka już widział „swoj” kosz. Zwolnił i kierował się tam, trzymając się strony, gdzie były drzewa. Nikt do pojemnika nie podchodził.

Punktualnie o ósmej trzydzieści stanął nad śmietnikiem. Był prawie pusty. Wyjął ze środka jedyny śmieć - pudełko o wymiarach dziesięć na dwadzieścia pięć centymetrów, po czekoladkach. W środku był plik banknotów. Nie liczył. Jego szef na pewno zrobił to dokładnie.

Wrócił do miasta i tak jak zwykle, kiedy miał trochę pieniędzy, wziął prysznic na dworcu kolejowym i ogolił się. Potem kupił bilet do Szczecina, na wszelki wypadek pierwszej klasy, i ruszył powoli w stronę ulicy Zygmuntońskiej. Po drodze zaopatrzył się w nową koszulę i zjadł wielkiego hamburgera, popijając go wodą sodową.

Myślał o swoim szefie i nic nie mógł wykombinować. Pieniądze więc zostały włożone do kosza wcześniej. Czy kosz był obserwowany? Doszedł pod lombard przed czasem i kręcił się w pobliżu, oglądając wystawy.

Kobieta, wysoka i w kapeluszu owiniętym szyfonową chustką, wysiadła chyba z jakiegoś auta, kiedy zauważył ją zmierzającą do drzwi lombardu. Trzymała w dłoni dość dużą,

elegancką dyplomatkę w kolorze ciemnowiśniowym.

W lombardzie spędziła pięć minut, po wyjściu skierowała się szybkim krokiem na pobliski postój taksówek. Tam już na nią czekał. Wsiadł do następnej taksówki.

- Na dworzec kolejowy - rzucił krótko kierowcy, nie spuszczać z oczu wozu przed nim.

Pod wejście podjechali prawie równocześnie. Kiedy wysiadali, po drugiej stronie ulicy przyhamował biały passat z trzema pasażerami. Dwóch z nich wysiadło i przebiegło na czerwonych światłach ulicę, kierując się w stronę dworca. Karawana złożona z damy z walizką, Krzysztofa i dwóch mężczyzn za nimi przedostała się na peron czwarty i czekała na pociąg. Pasażerów było dość dużo.

Krzysztof miał niejasne przeczucie, że coś jest nie w porządku. Patrzył na wszystkich oczekujących, ale nie dostrzegał nic dziwnego. No, może dwaj faceci stojący przodem do siebie i o czymś dyskutujący. Podeszedł bliżej nich, ale zauważyli go i zamilkli. Jeden miał wytatuowanego węża, którego łeb wychodził z prawego rękawa na wierzch dłoni. Drugi też nie wzbudzał zaufania. Nie podobali mu się obaj.

Kiedy wjechał zapowiadany pociąg, dama i Krzysztof wsiedli do pierwszej klasy, a mężczyźni podeszli do konduktora. Krzysztof zajął miejsce w przedziale za kobietą w prawie pustym wagonie. Pociąg ruszył i Garus zaczął obserwować drzwi do przedziału kobiety. Siedziała na razie sama. On też. Po chwili jego niejasne przeczucie z peronu

okazało się prawdziwe. Dwaj faceci, na których zwrócił wcześniej uwagę, usiedli w przedziale za nim. Prawdopodobnie kupili bilety od konduktora.

Nie słyszał, żeby coś mówili. Po półgodzinie ten z tatuażem węża na ręce poszedł do toalety, zaglądając do przedziałów: jego i ochranianej kobiety, jakby się chciał upewnić, że siedzą we właściwej części składu. Krzysztof był prawie pewien, że chcą napaść na kobietę, i otworzył swój kozik, blokując klingę.

Po następnej półgodzinie pociąg bardzo zwolnił i toczył się tuż obok szosy. Po szosie jechał biały passat, dość wolno, ale ich wyprzedził. Wydawało mu się, że usłyszał jakby szcęk otwieranego okna w przedziale zajmowanym przez dwóch mężczyzn. Samochód za oknem zwolnił i kierowca jakby machnął ręką w stronę pociągu. Krzysztof był prawie pewien, że dawał znak tym w przedziale obok.

Odsunął swoje drzwi i trwał w napięciu. W końcu zrozumiał. Chcą zabrać kobiecie walizkę, wyskoczyć z pociągu i zbiec passatem. Uniósł się w chwili, kiedy ten z wężem mignął na korytarzu i odsunął drzwi przedziału kobiety. Krzysztof wyskoczył na korytarz i natychmiast dopchnął je, przygniatając nimi głowę oprycha do krawędzi ścianki. Bandzior ryknął z bólu i próbował złapać się za głowę, ale nie mógł, bo ręce miał na zewnątrz przedziału. Teraz pojawił się ten drugi, ale zanim dobiegł do przedziału Krzysztofa, dostał kopa w krocze i wyjął, zwałił się na podłogę. Krzysztof zwolnił drzwi i wywłókł bandziora do

przejścia przy toalecie. Trzymając go za głowę, przystawił mu kozik czubkiem do szyi i nacisnął, aż pokazała się krew.

Pociąg zatrzymał się zupełnie. Krzysztof otworzył drzwi. Kierowca zatrzymał passata i patrzył osłupiały na pociąg. Ciało oprycha potoczyło się w dół po skarpie i w końcu zatrzymało. Bandzior próbował wstać. Pociąg szarpnął i znowu ruszył. Kiedy Krzysztof podbiegł do drugiego bandyty, tamten wstał i kierował się do przedziału kobiety. Nie doszedł. Krzysztof wywłókł go do toalety. Zamknął drzwi, posadził go na sedesie i przyłożył kozik do gardła. Tamten patrzył na niego z przerażeniem i błaganiem.

- Słuchaj, gnojku. Twojego kumpla wyrzuciłem z pociągu. Ciebie też wyrzucę, jak się pokażesz na korytarzu. Albo poderżnę ci gardło. Jasne?

- Jasne. Błagam...

- Masz tu siedzieć następne dwie godziny!

- Będę siedział.

Krzysztof odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi do ubikacji. Kobieta siedziała przerażona, wciśnięta w kąt przedziału, ściskając swój neseser.

- Już po wszystkim, niech się pani nie boi. Ale musimy się przesiąść na najbliższej stacji - był pewien, że bandziory będą czekać w Szczecinie.

- Kim pan jest?

- Aniołem Stróżem. Proszę robić, co każę, jasne?

- Dobrze.

- Więc niech pani się zwija i przesiadamy się z tego wagonu do przodu.

Przeszli pół pociągu i usiedli w wagonie drugiej klasy, gdzie było więcej ludzi. Wysiedli na pierwszej stacji. Na szczęście pod małym dworcem stała jedna jedyna taksówka.

Kierowca nie mógł zrozumieć, dlaczego dwoje pasażerów, którzy wysiedli z pociągu do Szczecina i wsiedli do jego taksówki, każe się wieźć do Szczecina. Zważywszy jednak na ponurą minę pasażera i wspaniały kurs, który trafił mu się pierwszy raz w życiu w tej dziurze, prowadził auto, milcząc.

Uspokoił się trochę i Krzysztof rzucił okiem na współpasażerkę. Miała ładnie sklepione czoło, ciemne oczy i długą szyję. Nie wyglądała na bogatą, raczej na skromną, ale z klasą. Nie pytał o nic z uwagi na kierowcę. Po trzech godzinach pojawiły się zabudowania i kierowca spytał:

- A w Szczecinie dokąd?

- Niech pan jedzie w stronę dworca. Powiem panu, kiedy stanąć.

Zatrzymał taksówkę dwie ulice od dworca. Taksometr wskazywał trzysta siedemdziesiąt siedem złotych. Dał taksówkarzowi cztery setki od „pracodawcy” i podziękował za resztę.

- Da sobie pani teraz radę?

- Dam. Niech pan poczeka tylko, aż złapię jakąś taksówkę.

Czekali piętnaście minut, zanim udało im się zatrzymać przejeżdżający samochód.

- Wie pani co? Oto mój numer telefonu. Jakby jakieś kłopoty, niech pani dzwoni - zapisał na pudełku od zapalek swój numer.

- Dobrze. Dziękuję. Nie spodziewałam się...

- Ja też. Mam nadzieję, że szczęśliwie pani dojedzie do celu.

- Na pewno. Bardzo panu dziękuję.

- Nie ma za co. Wynajęto mnie.

- Wynajęto? Pana też?

- I panią wynajęto? - teraz Krzysztof był naprawdę zdziwiony. - Mieszka pani w Gdyni?

- Tak.

- Jak pani wróci, proszę zadzwonić. Pogadamy i wyjaśnimy parę spraw.

- Dobrze, zadzwonię - wyglądało, jakby była zadowolona.

Drzwi taksówki trzasnęły i Krzysztof ruszył w stronę dworca. Kupił bilet do domu i zjadł w restauracji dworcowej całkiem dobry obiad. Kiedy się ściemniło, wsiadł do pociągu, zajął miejsce w kącie przedziału i spał jak młody bóg do samej Gdyni.

ROZDZIAŁ II

Stefan Lipka obserwował swoje dłonie na kierownicy wielkiego porsche cayenne. Paznokcie miał obrobione przez manicurzystkę i polakierowane. Te dłonie to właściwie wszystko, co miał w miarę normalne. Reszta jego sylwetki była pokraczna. Wzrost niewielki, za to pokaźny brzuch, brak szyi, ręce długie do kolan, ostrzyżone na króciutkiego jeża włosy zachodziły mu na połowę niskiego, pomarszczonego czoła.

Zawsze taki był, już w przedszkolu się z niego wyśmiewali i nazywali gorylem, a szkoła to już była gehenna. Pseudo z przedszkola wędrowało za nim. Wtedy znienawidził świat i ludzi i zachowywał się równie podle, jak wyglądał. Kablował na kolegów, czego nauczyciele chętnie słuchali, ale też go nie lubili.

Z trudem zdał maturę, a potem pojechał do Warszawy na studia. Dostał się cudem na Wydział Ekonomii, potem przeniósł na pedagogikę specjalną, a właściwie to po niezdanym komisyjnym egzaminie na Wydziale Ekonomii groziło mu wyrzucenie, więc obiecał uniwersyteckiemu sekretarzowi partii, że się zapisze, jeśli go nie wyrzucą. Nie wyrzucili, ale musiał zmienić kierunek studiów.

Poszedł na pedagogikę specjalną, zapisał się do partii, ale

i to starczyło tylko na dwa lata studiów. Relegowano go za brak postępów. Ale wtedy był już jako tako ustawiony. Wykorzystywał swój jedyny talent - pisanie krótkich, dowcipnych opowiadań, właściwie dowcipów. Początkowo robił to z powodzeniem w prasie uczelnianej, ale szybko go w stolicy zauważono. Wypisywał dość zabawne głupoty, zawsze w zgodzie z panującą akurat władzą. Kiedy nastał Gierek, napisał pierwszą i drugą książkę, z dziedziny polityki i publicystyki, przy czytaniu których czytelnik rechotał i nie zauważał, że jest manipulowany. Wtedy dostał tę fuchę. Kiedyś spotkał ministra, który był wielbicielem jego książek. Ów minister odwiedził wydawnictwo, które publikowało zwykle książki Lipki, i akurat spotkali się na korytarzu. Prowadzący dostojnika dokonał prezentacji Lipki. Okazało się, że minister lubił jego twórczość i nie krył fascynacji nową znajomością. Wkrótce też przyszła z ministerstwa propozycja rządowego etatu. Posada była wymyślona i właściwie niepotrzebna - korektor materiałów plenarnych i kongresowych, ale świetnie płatna i właściwie nieobciążona żadną odpowiedzialnością. Wtedy kupił piękne czteropokojowe mieszkanie.

Miał wówczas czterdzieści pięć lat i przybrał swój ostateczny kształt starego goryla. Życie seksualne właściwie dla niego nie istniało. No, może parę prostytutek wynajętych po pijanemu, ale po czymś takim nienawidził sam siebie jeszcze bardziej.

Nastał czas Solidarności, potem stanu wojennego. Teraz żył z układania przemówień dla dyktatora. Zajmował coraz

bardziej fikcyjne i lepiej płatne stanowiska, dzięki różnym „prawnie” uzasadnionym kombinacjom wszedł w posiadanie okazałej willi pod Warszawą. Marcelinę poznał podczas jakiegoś wieczoru autorskiego na uniwersytecie czy spotkania z ZSP. Zadawała bezczelne pytania, bo była po paru piwach, i dlatego wpadła mu w oko. Był oślepiiony jej urodą i spotkali się potem prywatnie.

Weszli jakoś w porozumienie i będąc trochę na gazie, postanowili się pobrać. On zyskiwał reprezentacyjną kobietę obok siebie, ona jakiś cel i było nie było pieniądze oraz rodzinę. I plotki na swój temat, co uwielbiała. Szybko się okazało, że dziecka mieć nie może, zresztą w ferworze walki, we właściwym na to czasie, zupełnie o tym zapomniała. Życie jej upływało wśród rautów, pijaństw i plotek. Przywykła do tego. Nie myślała o niczym, bawiła się życiem.

Nadszedł rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty ósmy, Reagan i Gorbaczow dogadali się na pokładzie wielkiego lotniskowca na Morzu Irlandzkim i ustalono limitowaną wolność dla całej Europy Wschodniej. Lipka był już ustawiony. Prowadzenie prywatnego przedsiębiorstwa „Porady i Ubezpieczenia”, założonego dzięki kontaktom i układom, nie wymagało żadnego wysiłku, aby uzyskać dochód, a on, jako postać rozpoznawalna, podczas wyjazdów w Polskę usłyszał wprawdzie parę wyzwisk od jakiegoś zdenerwowanego obywatela, wielokrotnie nabluzgano mu na ulicy, ale jakoś z tym żył.

Lipka skręcił w stronę grupy starych drzew, za którymi stał jego wielki dom. Ogrodzony był potężnym, trzymetrowym murem, a za nim czuwał oddział ochroniarzy z psami. Zatrzymał się przed bramą, nacisnął pilota i po chwili zaparkował na podjeździe przed wejściem. Wziął z przedpokoju plik dzisiejszej poczty i wszedł na pierwsze piętro do swojego gabinetu.

Gabinet był wysoki, z dwoma wielkimi oknami. Dwie ściany były zastawione dębowym regałem z tysiącami książek, naprzeciw stało wielkie biurko w tym samym stylu, a obok fotel. Dalej mały stolik z komputerem i fotelem. Pod czwartą ścianą ustawiono stylowy dębowy stolik i cztery fotele obite ciemnym welurem. Środek gabinetu był wolny, zasłany tylko kolorowym perskim dywanem.

Lipka usiadł szczęśliwy za biurkiem i położył przed sobą plik poczty.

Chwilę odpoczywał, a potem zaczął segregować przesyłki. Rozdzielił te adresowane do siebie i te, które przyszły do jego żony. Było ich tylko kilka, ale uwagę zwracała dźwiękowa pocztówka.

- Coś takiego w dwa tysiące czternastym roku? - zdziwił się na głos.

Przyjrzał się dokładnie, ale na pozólkłym odwrocie był tylko adres i żadnej treści. Kartka wyglądała na czterdzieści lat. Może Marcelina zamówiła ją u jakiegoś kolekcjonera? - myślał.

To była kartka z jej czasów, a on był od niej o wiele lat starszy.

- Posłuchajmy - powiedział do siebie.

Wstał i poszedł do starego gramofonu. *Siedem dziewcząt z Albatrosa, tyś jedyna...* - rozległ się smętny męski głos.

- Ale badziewie - pomyślał i delikatnie, żeby nie uszkodzić, zdjął kartkę z gramofonu i położył z powrotem na biurku.

Spojrzał na swoją kupkę listów. Wiedział, że dziewięćdziesiąt pięć procent to wyzwiska i życzenia nagłej śmierci. Wiedział i lubił to. Po latach traktował ludzką nienawiść jak lwa w klatce, którego mógł bezkarnie drażnić. Nienawidził tego społeczeństwa nie mniej niż ono jego i gardził nim.

Uśmiechnął się i wziął listy żony. Poszedł w górę jeszcze jedno piętro. Od dawna nie sypiali razem. Przede wszystkim dla wygody. Cichutko uchylił drzwi zalanej słońcem sypialni. Półnaga, długonoga, piękna pomimo wieku kobieta spała, leżąc na brzuchu, opierając głowę na przedramieniu. Patrzył na nią z prawdziwym zachwytem. Kiedyś pomyślał, że może nie była mu wierna, ale to on był jej właścicielem. Posiadał ją, jak się posiada piękną klacz, na której jeżdżą dżokeje, bo nie można na niej nie jeździć. Była na to zbyt piękna.

Jego spojrzenie obudziło ją, śliczny nosek zmarszczył się i wielkie oczyska spojrzały na Lipkę.

- Cześć, jak spałaś, kochanie? Jakies listy do ciebie

przyniosłem. – Wyciągnął rękę z korespondencją.

– Połóż na toaletce... Albo nie. Daj tutaj.

Zaraz wyłuskała pocztówkę z piosenką.

– O, a co to? – zdziwiła się. – Laskowski? Znam to – mówiła jakby trochę zmieszana. – Od kogo? Nie ma podpisu? Aaa, od koleżanki. Prosiłam ją o tę piosenkę. Fajnie, że pamiętała – siedziała na krawędzi łoża i oglądała jarmarczny kwiatek na zdjęciu.

Jej głos brzmiał trochę sztucznie, ale Lipka nie zawracał sobie tym głowy. Zamknął drzwi i poszedł do siebie.

ROZDZIAŁ III

Krzysztof wysiadł z pociągu i rozespany skierował się na przystanek autobusowy, z którego zwykle jechał do domu, kiedy go miał. Otrzeźwiało go chłodny wiatr i zatrzymał się. Usiadł na ławce. Po pięciu minutach wstał jednak i wsiadł do trolejbusu numer dwadzieścia pięć.

Właściciel hoteliku był zdziwiony żądaniem wynajęcia pokoju o tej porze, ale wpisał nazwisko do księgi i zapytał: - Chce pan pokój od ulicy czy od ogrodu?

- Niech pan mi da oba klucze na pięć minut, pójdę i zobaczę, który mi bardziej odpowiada.

Pierwszy pokój miał okno na ogród i parę domów jednorodzinnych, drugi na przystanek autobusowy i postój taksówek. Krzysztof uznał, że właśnie ten będzie bezpieczniejszy, i za dwadzieścia minut, wykąpany, spał w czystej pościeli.

Telefon zadzwonił o dziewiątej.

- Garus, te cztery stowy, które wczoraj wydałeś na taksówkę, czekają na ciebie w recepcji - telefon zamilkł, pokazując na displayu zamiast numeru dzwoniącego napis „numer prywatny”.

- Skąd on tak szybko się dowiedział, gdzie mieszkam?

Ogolił się i zszedł na dół. Recepcjonista bez pytania wręczył mu kopertę.

- Kto ją przyniósł?

- Jakiś chłopak. Mógł mieć piętnaście lat. Powiedział, że to kazał mu przynieść jakiś starszy pan.

- Dziękuję. - Schował kopertę do kieszeni.

Szef wszystko o nim natychmiast wiedział. Krzysztof nie czuł się specjalnie urażony, tylko ciekawy, jakim sposobem taki gość wszystko - no, może nie wszystko, ale dużo - o nim wie, i to natychmiast. O tej akcji w pociągu widocznie dowiedział się od tej ochranianej, bo jak inaczej? Niestety, nie miał jej numeru, ale ona miała jego numer, więc pozostało tylko cierpliwie czekać. I liczyć na szczęście, że ona zadzwoni.

Telefon odezwał się, ale to nie była ona. Znany głos powiedział: - Niedługo będę cię potrzebował. Wyrób sobie paszport i kup jakąś książkę do angielskiego, tak żebyś mógł się dogadać za granicą. Ile czasu na to potrzebujesz?

- Nie wiem, nie miałem nigdy paszportu...

- Dobrze, zadzwonię za dwa tygodnie. Powiem ci wtedy, jakiej wizy będziesz potrzebował. - Słuchawkę odłożono.

Nie zdążył jeszcze nawet przemyśleć rozmowy, kiedy telefon zadzwonił powtórnie. Nikt się od razu nie odzywał, więc zrobił to sam: - Halo, słucham?

- To pan? - Damski głos musiał należeć do niej.

- Tak. Nareszcie pani zadzwoniła.
 - Tak, ale nie wiem, czy dobrze zrobiłam.
 - Bardzo dobrze. Musimy się zaraz spotkać.
 - Dobrze. - Jej głos wyrażał zaskoczenie, ale chyba była zadowolona.
 - Więc gdzie?
 - Wie pan, w tej sytuacji może pan przyjdzie do mnie na kawę. Wolę się nie pokazywać na mieście... Nasz „pracodawca” dużo wie...
 - Za dużo. Ma pani rację. Gdzie i kiedy mam być?
- Zapisał adres odległego od centrum blokowiska.
- Dobrze, będę o siódmej.

Po rozmowie zerwał się z łóżka i zaczął bez sensu robić pompki i brzuszki. W dawnych czasach tak reagował na szczęśliwe wiadomości. Skąd się to wzięło? Chyba z wojska, gdzie za list od narzeczonej pluton wymuszał na szczęśliwcu pompki.

Potem spocony zapalił papierosa i wziął prysznic. Była dopiero szesnasta, więc pojechał do miasta. Przeszedł całą Świętojańską i w końcu znalazł księgarnię z zagranicznymi książkami. Po parominutowej naradzie z ekspedientką nabył dwie książki do angielskiego, w tym jedną o tytule *Przygody Tomka Sawyera*. Znał ją z dzieciństwa i liczył, że zrozumie, jak już coś w ogóle będzie kapował. Do tego odzwałował jeszcze sto dwadzieścia złotych na elektroniczny słownik

wielkości kalkulatora.

Z książkami w siatce stanął przed jej blokiem już o osiemnastej. Budynek był niewysoki, czteropiętrowy, schludny, okolony trawnikami, z nowymi chodnikami z kafelków wokół.

Poszedł do pobliskiego sklepu i kupił butelkę wina i kwiatki. O wpół do siódmej znów stał gotowy przed blokiem, kiedy drzwi klatki otworzyły się i wyszła ona. Była z malutkim, lśniącowłosym jamnikiem.

- O, już pan jest. Chciałam tylko przewietrzyć Klarę. - Wskazała gestem psa.

- Tak - przytaknął zażenowany - przyszedłem trochę wcześniej.

- Chodźmy więc na pięć minut.

Szedł dwa kroki za nią i podziwiał zgrabną figurę w spódniczce, pięknie upięte na karku włosy i grację gestów. Wdrapali się na trzecie piętro po paru minutach i Krzysztof siedział już w fotelu, w miłym saloniku, podczas gdy ona wstawiała kwiaty i robiła kawę. Kiedy weszła z tacą, zamarzył o takim właśnie domu i takiej kobiecie, ale odgonił zaraz głupie myśli, żeby nie zapeszyć.

- Mam na imię Dorota. Wygodniej nam będzie na „ty”, prawda? - Wyciągnęła dłoń.

- Krzysiek. - Poderwał się jak uczeń i ucałował szarmancko.

- Fajnie. Poznaliśmy się w okolicznościach niezwykłych, trzeba przyznać...

- Tak. Właściwie w moim życiu zdarzyły się rzeczy niewiarygodne... Trudno w nie uwierzyć - nie chciał mówić zbyt wiele. Bał się, że jak powie, kim był przez ostatnie lata, będzie to dla niej szok.

- W moim też. Właściwie znalazłam się w tym pociągu przypadkiem. Poprosiła mnie o to koleżanka. Miałam ją wyręczyć w czymś, co wydało mi się dziwne. Jej mąż miał wypadek i nie mogła jechać. Dała mi bilet i honorarium za tę przysługę. To, co potem się wydarzyło w pociągu... Zdałam sobie sprawę, że biorę udział w czymś bardzo niebezpiecznym i chyba nielegalnym.

- Tak. Ja też niewiele wiem. Z tym, że zgodziłem się na to sam. Miałem poważne kłopoty finansowe i rodzinne. Wiesz, miałem żonę i dziecko, ale pewnego dnia zostałem sam i bez domu. Może kiedyś ci opowiem.

- Nie trzeba. Opowiesz, kiedy sam będziesz chciał. Ja też nie mam szczęścia w tych sprawach. I nie wierzę w happy endy - dodała szybko, dolewając mu kawy.

Krzysztof patrzył na nią i marzył. Że to jego dom i jego żona. Właśnie. Chyba nie jest sama. Przy tej urodzie. I klasie.

- Mieszkasz tu sama? - zapytał po prostu.

- Nie tylko mieszkam, ale w ogóle jestem sama. Byłam z kimś, ale się rozstaliśmy. Wiesz, mam trzydzieści lat. I nie mogłam mieć dziecka. Mieliśmy się pobrać, ale ciągle nic

i nic. Stwierdził, że chce mieć rodzinę z dzieckiem, a ja nie mogę, więc odszedł. I tyle.

- A wolno zapytać, z czego żyjesz?

- Wolno. Skończyłam medycynę rehabilitacyjną, więc rehabilituję różnych połamanych.

- Ja też wymagam rehabilitacji.

- Ty? Widziałam, jaki z ciebie wojownik. Nie żartuj.

- Nie o to chodzi... zresztą. - Machnął ręką.

- Tak, tego, o czym myślisz, wszyscy potrzebujemy.

- Ja polubiłem samotność.

- Można ją polubić, ale nie na długo.

- Chyba tak. Mieć kogoś chociaż przez telefon.

Krzysztof czuł się jak młodzieniec na pierwszej randce. Było mu dobrze i bardzo chciał, żeby ta wizyta trwała jak najdłużej, może nawet zawsze. Było mu gorąco i był pewien, że twarz mu się czerwieni. W pewnej chwili nieopanowanym ruchem chciał chwycić jej dłoń, ale odsunęła ją odruchowo. Zawstydział się jeszcze bardziej. Siorbiąc swoją kawę, chciał uciec.

Posiedział jeszcze dwadzieścia minut i wstał. Ruszył do wyjścia.

- Muszę już iść - powiedział, żeby coś powiedzieć, bo przecież nigdzie się nie spieszył. Wstała również. Odprowadzając go, wyglądała, jakby żałowała, że wizyta się

kończy. Kiedy tak stali naprzeciw siebie, położyła nagle głowę na jego piersi, a on odruchowo objął jej kibić. Trwali tak chwilę szczęśliwi. Nie wiadomo, dlaczego odsunął ją, cmoknął w policzek i wyszedł, czego natychmiast pożałował.

Mimo to zbiegł szczęśliwy ze schodów, przeskakując po trzy stopnie. Mógłby teraz zrobić wszystko, nawet przenosić góry. Zaczęło się coś nowego, stan, na określenie którego słowo „miłość” wydawało mu się zbyt banalne. W autobusie patrzył na nielicznych pasażerów przyjaźnie i uśmiechał się porozumiewawczo, chociaż przecież oni nic nie rozumieli.

Wbiegł po schodach swego pensjonatu, podłączył telefon do ładowarki, rozebrał się i zaraz zasnął.

ROZDZIAŁ IV

Budził się powoli i zaraz przypomniał sobie wczorajszy wieczór. Radośnie wyskoczył z łóżka i zaczął robić pompki, ale musiał przerwać, bo zadzwonił telefon. Czuł, że w takiej chwili to nie ona, tylko szef, i wcale nie był zadowolony.

- Masz paszport?

- Będę miał w przyszłym tygodniu.

- Dobrze, w recepcji dostaniesz przesyłkę. W kopercie jest list gwarancyjny od firmy. Paszport i ten list oddasz w ambasadzie Nigerii. W ciągu jednego dnia powinieneś dostać wizę. Zadzwonię do ciebie wtedy. Załatw sobie konto w CitiBanku i MasterCard. Nie płać jednak nią za granicą. Raczej wypłacaj pieniądze i płać gotówką. Jak z angielskim?

- Dogadam się w prostych sprawach.

- Dobrze. Do usłyszenia. - Telefon wyłączono.

Położył się na łóżku i myślał. Nigeria. To gdzieś w Afryce Zachodniej. Co on kombinuje? Co tam jest w tej Nigerii?

Wstał, ogolił się i postanowił iść do biblioteki, żeby dowiedzieć się czegoś o Nigerii. W bibliotece spędził godzinę i zdobył podstawowe informacje. W drodze powrotnej po długim namyśle kupił laptop. Nie był przyzwyczajony do wydawania takich sum. W sklepie zeszło mu dłużej, bo zanim

zapłacił, wypytał sprzedawcę, jak się podłączyć do Internetu, i zainstalował, co trzeba. Dokupił jeszcze słownik angielsko-polski na płycie i encyklopedię multimedialną.

Obładowany wrócił do siebie. Czekał na niego list od szefa i powiadomienie, że ma się zgłosić w poniedziałek po paszport. Rozpakował laptop i pozostałe zakupy. Dobre dwie godziny spędził nad komputerem. Dowiedział się mnóstwo o Nigerii. Potem po raz pierwszy połączył się z Internetem. Irytowała go własna niewiedza, ale w końcu przypomniał sobie, że Dorota się chwaliła, że jest w tym dobra. Postanowił, że spróbuje się z nią umówić w weekend, weźmie komputer i do niej pojedzie. Na myśl o tym uśmiechnął się do siebie. Dała mu numer telefonu. Na pewno się zgodzi, jest taka kochana. Kochana? Co to za słowo? Skąd? Ale właściwie dlaczego nie?

Czekał niecierpliwie na szóstą po południu, bo jak zapamiętał, o tej godzinie wracała do domu. Zadzwoił do niej pięć po szóstej. Ucieszyła się z telefonu.

- Wiesz, dziś mam coś do załatwienia, nie będzie mnie, ale jutro koło dziesiątej przyjdź. Mam wolne. Czekam, Krzysiu.

- Jak ładnie powiedziała „Krzysiu”- powtarzał.

Punktualnie o dziesiątej biegł już po wybłyszczonych lastrykowych schodach do Doroty. Uśmiechał się do siebie. Na którymś piętrze usłyszał zza zamkniętych drzwi kretyńską poleczkę *Lata z radiem*. Nie lubił tej melodii, kojarzyła mu się z komuną i kolejkami po mięso, bo zawsze ktoś ze stojących miał radyjko na baterię. Nie była jednak

w stanie zepsuć mu humoru.

Jedno piętro przed Dorotą zadzwonił ten przeklęty telefon. Krzysztof był zbyt zdyscyplinowany, żeby nie odebrać. Staął na podeście między piętrami i przysłonił telefon dłonią, chcąc stłumić echo klatki schodowej.

- Masz dwa dni na wyrobienie wizy. Potem odbierzesz bilet lotniczy do Lagos. Będę się z tobą kontaktował co do szczegółów. *Out.*

Schował telefon do kieszeni i pomyślał, że nie da sobie zepsuć humoru.

Kiedy stanął przed jej drzwiami, nie zdążył zadzwonić. Drzwi otworzyły się i Dorota wciągnęła go do środka.

ROZDZIAŁ V

Siedział w samolocie Frankfurt-Lagos i myślał. Wyprawa do Warszawy po wizę przebiegła bez problemów. Pojechał eleganckim pociągiem, mając bilet z miejscówką, a nawet w przyływie nowobogackiej bezczelności zamówił sobie kawę od wędrującej po pociągu z wózkiem hostessy. Bez trudu znalazł odpowiednią ambasadę, w ciągu godziny umundurowany Murzyn wręczył mu jego nowy paszport z wielkim, kolorowym stemplem wizy.

Samolot z Okęcia do Frankfurtu odlatywał nazajutrz o dziewiątej, więc pojechał na lotnisko autobusem, żeby zobaczyć co i jak, a potem wynajął pokój w niedrogim hotelu Ochota.

Kiedy tylko podłączył swój laptop, na stoliku obok łóżka odezwał się telefon. To była ona.

- Krzysiu, wysłałam ci dwa maile. Tęsknię, ale nie mogę teraz rozmawiać. Pa!

Powoli włączał laptop, tak jak go uczyła, i wyszukiwał swoją mailową pocztę. Oprócz dwóch wiadomości od Doroty była jedna od szefa.

- W Lagos przy wyjściu będzie na ciebie czekał gość z tabliczką z napisem „kappa”. On cię zaprowadzi, gdzie trzeba, i da ci list ode mnie. *Good luck!*

Krzysztof wyobraził sobie tego zapewne czarnoskórego „gościa” z kawałkiem tektury i napisem „kappa”. Trochę się bał, czy wszystko pójdzie dobrze, ale nie miał już wyjścia.

Oba maile od Doroty były tak miłe, że zgasił komputer, rozebrał się i pogrążył w marzeniach.

Na drugi dzień dotarł na lotnisko dwie godziny przed odlotem. Pobrał dwie *boarding card*, bez trudu znalazł samolot do Frankfurtu i po niedługim czasie wylądował na lotnisku.

Lotnisko było ogromne. Miał trzy godziny czasu, przestudiował więc plan lotniska i odnalazł na elektronicznych tablicach numer *gate*. Szedł tam dobre pół godziny i kiedy przemieszczał się automatycznym chodnikiem, zwrócił uwagę na buty pasażera jadącego przed nim. Pasażer stał tuż obok jego walizki i nosił czarne skórzane kowbojki na grubej podeszwie, z kwadratowymi noskami i na podwyższonych, kanciastych obcasach. Widział te buty całkiem niedawno, i to w towarzystwie tych samych dżinsów, spranych jasnoniebieskich Lee.

W końcu przypomniał sobie. Ten gość siedział naprzeciw niego na lotnisku w Warszawie. No cóż - pomyślał - jedzie w tę samą stronę. Gość wyglądał na trzydzieści pięć lat, był wysoki, mocno zbudowany i miał na nosie słoneczne okulary.

Pod swoim „gatem” Krzysztof zjadł solidnego hamburgera i wkrótce siedział wygodnie w samolocie. Miał fotel po prawej stronie, przy przejściu. Od okienka dzieliły go trzy inne zajęte fotele, a do okienka po lewej siedziało jeszcze

kilkunastu pasażerów.

Wyciągnął się w fotelu, aż kości zatrzeszczały, i zmrużył oczy. Tyle wydarzyło się ostatnio. Wspaniałych rzeczy, które zmieniły jego życie w sposób całkowicie nieprzewidywalny.

Myślał, że już nic dobrego się w jego życiu nie zdarzy, że spędzi swój czas, zbierając puszki i butelki. Miał z noclegowni mnóstwo przykładów. Nocowali tam mężczyźni w najróżniejszym wieku i rozmaitego autoramentu. Najstarszy miał chyba osiemdziesiąt lat. Większość to menele od urodzenia, z rodzin patologicznych, ale trafiali się też po prostu bezrobotni, którym jakaś sędzia kazała wynosić się z domu, który niejednokrotnie sami kupili w „lepszych” czasach, ale sfeminizowane sądy na pewno nie były sprawiedliwe.

Myślał więc, że będzie już tak żył, sypiał w altance, a w czasie mrozów w noclegowni czasem zakosztuje „napoju wiśniowego” czy „morelowego” z pożał się Boże kumplami, zestarzeje się i umrze za parawanem w jakimś państwowym szpitalu. A tu proszę - leci samolotem linii międzynarodowych, ma na koncie gotówkę, w torbie laptop. No i Dorota...

Otworzył oczy i uszczypnął się w udo, żeby uwierzyć, że mu się to nie śni. Światła w samolocie przygaszono, większość pasażerów drzemała albo udawała, że drzemie, a na końcu korytarza między fotelami był jakiś ruch. Stewardessy przygotowywały jedzenie dla pasażerów. Na ten widok poczuł się bardzo głodny i czekał z niecierpliwością,

kiedy wózek w końcu do niego podjedzie.

Z kieszeni fotela przed nim wyjął wypisane na twardym kartonie propozycje pokładowej pentry, a przy okazji znalazł folder reklamujący dostępne w samolocie drobiazgi na sprzedaż. Początkowo chciał wsadzić folder z powrotem do kieszeni fotela, ale przypomniał sobie Dorotę i zaczął przewracać strony z większym zainteresowaniem. Było tam tyle luksusowych i dostępnych dla niego teraz drobiazgów, że zamknął folder z mocnym postanowieniem, że kupi coś dla niej w drodze powrotnej.

W końcu wózek z jedzeniem podjechał, a stewardessa podała mu tackę ze smażonym indykiem. Poprosił o dwa piwa. Zawstydził się zaraz swojej chciwości, ale stewardessa, widząc jego nieśmiały uśmiech, chyba mu wybaczyła, bo uśmiechnęła się bardzo serdecznie. Założył słuchawki, wybrał muzykę Deep Purple. Kiedy popłynęły słowa *Smoke on the water*, poczuł się królem życia.

Chyba zasnął i obudził się dopiero, kiedy musiał iść do toalety. Wstał, ale zaraz usiadł, bo zapomniał odpiąć pas. Rozejrzał się po pokładzie i ruszył w stronę ogona, bo tam światełko wskazywało wolne WC. Kiedy przeszedł trzy rzędy foteli, poczuł nagle jakiś znajomy zapach, znany z dawnych czasów i bardzo przyjemny. Spojrzał na rząd pasażerów. Z tej strony było ich czworo - dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Ta najbliższej przejścia mogła być koło trzydziestki, miała czarne włosy zaczesane gładko z przedziałkiem na środku głowy, pięknie zarysowane czoło i podbródek oraz

kształtne usta. Oczy i brwi skryte były pod „okularami” na gumce, przysłaniającymi światło bardziej wrażliwym pasażerom, chcącym się przespać.

W toalecie Krzysztof, myjąc ręce, myślał intensywnie, żłoszcząc się, że nie może sobie przypomnieć, skąd zna ten zapach. Wracając na miejsce, udał, że zawiązuje but koło jej fotela. Zapach był intensywniejszy. Miała krótką elegancką spódniczkę, na długich nogach białe pończochy czy rajstopy, pasujące świetnie do czarnych, zgrabnych pantofli z paseczkiem i na dość wysokim słupku. Niczego sobie nie mógł przypomnieć, więc zrezygnowany padł na swój fotel i znowu zasnął.

Obudziły go zapalone światła i szcęk zapinanych pasów. Samolot szykował się do lądowania. Chwilę zajęło, zanim przypomniał sobie, gdzie jest i co tu robi. Przeciągnął się w fotelu, aż kości zatrzęszczały, i zapiął pas.

Po chwili światełka lotniska zaczęły migać w okienku w zawrotnym tempie i samolot gładko wylądował.

Krzysztof rozejrzał się po pokładzie samolotu. Ta od znajomych perfum siedziała spokojnie. Nie znał jej i pomimo że wpatrywał się w nią dość natarczywie, nie odwzajemniła spojrzenia. Część mężczyzn poprzebierała się w białe szaty. Prawdopodobnie lecieli do domu i znali tutejszy klimat i zwyczaje. Operator polecił nie wstawać, aż samolot dojedzie do rękawa, więc siedzieli, ale rozglądali się niespokojnie. W końcu samolot zatrzymał się i kolejka ludzi w przejściu ruszyła powoli do wyjścia.

Siedział, aż ta od perfum minęła go. Wtedy wstał, zdjął z półki swoją niewielką walizeczkę i ruszył tuż za nieznajomą. Szli przez chwilę ściśnięci w rękawie, a po wyjściu tłumek rozpierzchnął się po terminalu dworca lotniczego. Większość szła w kierunku z napisem *luggage claim*, ale on nie miał żadnego bagażu oprócz walizeczki z komputerem i paroma drobiazgami. W końcu dworca dostrzegł napis *exit* i skręcił w ścieżkę *nothing to declare*.

Po przejściu korytarza poczuł, jak uderzyła go fala tropikalnego gorąca. Ta część dworca nie była klimatyzowana. Za barierką stało kilku mężczyzn o różnych kolorach skóry, czekających widocznie na podróżnych. Zawahał się i podszedł do grubego Murzyna w okularach, który trzymał przed sobą denko kartonowego pudełka z napisaną flamastrem grecką literą „kappa”. Ścisnął jego spoconą dłoń i wyszli w ciemną, gorącą, tropikalną noc.

Kierowca wiódł go między setkami zaparkowanych byle jak samochodów. Asfalt parkingu zastąpiła czerwona glina, a latarnie nad głowami były porozbijane. Wsiadli do starego nissana. Kierowca uruchomił silnik i, co dziwne, *air conditioning*. Jechali około piętnastu minut, kiedy kierowca zaproponował wymianę pieniędzy i masaż w wykonaniu swojej siostry. Krzysztof podziękował i po chwili auto stanęło przed wielką bramą z napisem „Bonny River Hotel”.

Hotel pamiętał widocznie lepsze czasy, ale były one chyba wiele lat temu. Klimatyzacja nie działała, restauracja była zamknięta, chociaż dochodziła dopiero dziesiąta wieczór.

Krzysztof podszedł do recepcji i podał paszport. Dziewczyna coś tam zapisała i dała mu klucz z numerem trzydzieści cztery, mówiąc z przepaszającym uśmiechem *no lift*, więc ruszył w stronę schodów.

W pokoju był balkon i Krzysiek zaraz go otworzył, bo *aircon* nie działał. Rzucił walizeczkę na stolik i z ulgą zdjął buty. Wyszedł na balkon boso i spojrzał na miasto. Było bardzo ciepło i zupełnie ciemno. Gdzieś w oddali błyskały jakieś pomarańczowe światełka, chyba pochodnie. Powietrze pachniało jakoś dziko i niebezpiecznie - kwiatami i dymem z ognisk.

Wrócił do pokoju i zauważył pod lustrem talerz sandwiczów i butelkę jakiegoś nieznanego piwa. Poczul głód, ale najpierw wydobył z walizki komputer i ustawił go na stole. Po chwili czytał trzy maile od Doroty, a potem otworzył mail pod tytułem „instrukcja”.

Instrukcja była krótka - jutro miał wsiąść w następny samolot. Bilet podobno zamówiono. Drugie zdanie polecało mu schylić się i zajrzeć pod łóżko. Zajrzał, ale nic nie zauważył, więc położył się na podłodze i zapalił latarkę. Do dna łóżka przyczepione było drewniane pudełko o wymiarach trzydzieści na trzydzieści centymetrów. Odczepił je i postawił na stole. Domyślał się, co zawiera. Odchylił nożem denko i oderwał je od pudełka. Magnum 357 leżało spokojnie obok dwóch pudełek, z których każde zawierało dwa tuziny naboí.

Wziął rewolwer do ręki. Strzelał z takiej broni w wojsku. Ważyła około kilograma. Wycelował w ścianę i obrócił

rewolwer na palcu, jak robili to kowboje w westernach. Co z kontrolą na lotnisku? – pomyślał, ale był pewny, że szef i to przewidział. Nie czuł się zaskoczony czy wystraszony. Wiedział, że takiej forsy nie bierze się za nic. Nawet go to trochę podniecało. Położył rewolwer na nocnym stoliku, talerz z kanapkami postawił na stole i otworzył piwo.

Kiedy zjadł, włączył telewizor. Program był tylko jeden, jakiś spocony Murzyn w białej koszuli przemawiał, prawdopodobnie lokalny polityk. Niewiele rozumiał, więc zgasił telewizor i wyszedł jeszcze raz na balkon. Ciemność i dziki zapach były jeszcze intensywniejsze. Myślał o tym, co mu się zdarzyło w życiu ostatnio. Szczególnie podobało mu się wszystko to, co dotyczyło Doroty. Uśmiechnął się i poszedł spać.

Wstał po chwili i zakręcił solidnie zamek w drzwiach. Pod drzwi podsunął taboret, żeby nie dało się wejść, nie budząc go.

ROZDZIAŁ VI

Kiedy zobaczyła tę kartkę, zwaną kiedyś dźwiękową pocztówką, gorący skurcz przeszył jej podbrzusze. Niebo w kolorze błękitnym i różowym zważyło się jej na głowę.

Widziała znowu jego grzywę zasłaniającą mu oczy i migoczącą rozkosz. Leżała pod nim na płaszcach zrzuconych z wieszaków szatni studenckiego klubu Herkulesy i wydawało jej się, że już nigdy nie będzie taka szczęśliwa jak teraz. Zaspokojony zważył się na podłogę, powstał i podał jej rękę. Podała mu swoją i poprawiła bieliznę. Powiesili płaszcze z powrotem na wieszaku. Była rozogniona i ciągle szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Bez słowa ruszyli przez korytarz w stronę schodów do dyskoteki. Spojrzała na siebie w lustrze wiszącym na ścianie i zobaczyła, że jest dalej piękna, ale widać po niej, co przed chwilą robiła. Nie była jednak w stanie mu się przeciwstawić.

W dyskotece w rytm utworu Janis Joplin dołączyli do kółka tańczących. Wszyscy wpatrywali się to w nią, to w niego, ale nie robiła nic, żeby temu zapobiec. Ani jednego gestu, ani próby tłumaczenia - była jakby w innym wymiarze. Nie obchodziło jej, co powiedzą, dlaczego tak długo jej nie było i dlaczego wrócili razem z Wojtkiem. Chłopak, z którym tu przyszła, próbował ją cmoknąć, ale odsunęła się gniewnie.

Spojrzała w jego nic nierozumiejące okulary i ruszyła do stolika.

Napiła się wody i pomyślała, co się właściwie stało. Nie była jeszcze studentką i przyszła tu z chłopakiem, z którym „chodziła”, Markiem z drugiego roku medycyny. Potańczyli wśród znajomych z pół godziny, kiedy zjawił się on. Wysoki, szczupły, smagły, z grzywą ciemnych, prostych włosów opadających mu na kołnierz, z dzikim spojrzeniem ciemnych oczu i lekko wystającą do przodu dolną szczęką. Słyszała, że „różni tacy” mówili o nim: „Wojtek to, Wojtek tamto” i bardzo go szanowali. Jakby się go trochę bali.

Wyszła po jakimś szybkim tańcu poprawić włosy w toalecie, kiedy usłyszała za sobą kroki. To był on. W zgrabnych, obcisłych granatowych sztruksowych spodniach i białej koszuli wyglądał świetnie, był powalająco piękny. Wziął ją za rękę i powiedział tylko:

- Chodź, nie bój się.

Podawała mu rękę i szła pokornie za nim, myśląc, co się stało, ale właściwie odkąd jego biała, migocąca fioletowo w światłach stroboskopów dyskoteki koszula pojawiła się na parkiecie, wpatrywała się jak zahipnotyzowana tylko w niego. A on wzbudzał nie tylko jej zainteresowanie. Studenci niby to go lekceważyli, ale ich partnerki wgapiały się w niego bezwstydnie i z widocznym oddaniem.

Dlaczego ją wybrał? Wiedziała, że jest ładna, ale czekając na wielką miłość, była już znudzona swoją własną urodą. To prawda, oczy miała dalej błękitne, buzię śliczną, włosy jasne,

ciężkie i proste, ale to była ciągle ta sama twarz, którą „wnosiła” na dyskoteki i przedstawienia teatralne, do szkoły i na prywatki, ten nieznany ON jej ciągle nie zauważał.

Irytowało ją czekanie, ale jej uroda onieśmiała chłopców. Po prostu się jej bali, uważając, że nie mają szans. Czekala więc coraz bardziej zdesperowana, aż do dzisiaj wieczór. Dlatego była wdzięczna Opatrzności, że się w końcu zjawiał. Nie miała wątpliwości, że to był właśnie ten. Dlatego tak łatwo dała mu się „poderwać”, tak bezceremonialnie, właściwie bezczelnie.

Kiedy weszli między szeregi wieszaków z kurtkami i płaszczami pachnącymi deszczem, pocałował ją. Rosnące pożądanie pozwoliło jej jeszcze tylko zauważyć, że drugą ręką zwał na podłogę kurtki z wieszaków, i potężna Natura kazała jej zapomnieć o całym świecie i nie widzieć nic oprócz dzikich oczu ukochanego.

Wróciła do domu po jedenastej, przemknęła po schodach na górę do siebie, rozebrała się i szczęśliwa zasnęła, uśmiechając się do swoich pięknych snów.

ROZDZIAŁ VII

Napis AN 28 był trudno czytelny na starym kadłubie samolotu. Maszyna, brudna i stara, miała kilka okrągłych, zasmolonych okienek na burcie, jedno z nich rozbite i zaślepienie od wewnątrz. Stary, żółty autobus, kiedyś chyba amerykański bus szkolny, dowiózł grupkę pasażerów do trapu i wykręcał teraz, szykując się w drogę powrotną.

Kilkanaście osób, mężczyźni w białych galabijach, a kobiety w kwiecistych, kolorowych sukniach, ze zwojami fantazyjnie upiętych muślinów na głowach, ustawiało się w kolejce do kilkustopniowego trapu. Byli to czarni jak heban obywatele Nigerii. Bagaże mieli przy sobie – walizy i kosze, z których czasem dobiegało gdakanie. Krzysztof wyraźnie się wyróżniał kolorem skóry i swoim małym neseserem. Ustawił się na końcu kolejki.

Czekali tak kilka minut, kiedy w końcu drzwi nad trapem otworzyły się i stanął w nich biały człowiek w hełmofonie. Uśmiechnął się szeroko i przyjaźnie do tłumku:

– *Nu, rebiata, podnimatsja po lestnicy!* – zawołał wesoło po rosyjsku, pewny, że nikt go nie rozumie.

Dostrzegł nagle Krzysztofa. Spoważniał i skinął na niego:

– *Sir, business class for you, of course!*

Krzysztof podszedł do trapu i po chwili zajął wskazane miejsce w obdartym fotelu tuż za kabiną pilota. Po chwili pasażerowie siedzieli na fotelach i na podłodze samolotu, napełniwszy go gwarem i śmiechem. Wielu paliło papierosy, widocznie na tej linii nie było żadnych zakazów.

Krzysztof poprawił pasek, za którym tkwiło jego magnum 357, i uśmiechnął się do siebie. Nie było żadnych prześwietlań i kontroli, wszystko poszło jak z płatka. Wyciągnął się w wysiedzianym skórzanym fotelu. Drzwi zamknięto, samolot kaszlnął i warkot motorów szarpnął maszynę do przodu. Przyspieszyli i po jeszcze kilku podskokach samolot wzbił się ostro w górę.

Krzysztof wyglądał przez bulaj, ale po chwili mgiełki i chmury zasłoniły zielony ocean dżungli pod samolotem. Uśmiechnął się do wyczarowanego wspomnienia Doroty, dotknął jeszcze dyskretnie kolby magnum, przycisnął neseser kolanem do ściany i słodko zasnął.

Obudził go wzmożony ruch w samolocie. Zniżali się i przygotowywali do międzylądowania w Abidżanie. W samolocie ściemniło się, kiedy przechodzili przez warstwę chmur, i pod kadłubem wynurzyła się znowu dżungla.

Samolot dotknął podłoża, podskoczył parę razy i gwałtownie zwolnił. Pilot przedarł się z kabiny do drzwi i otworzył zabezpieczenia. Krzysztof patrzył przez bulaj, jak paru Murzynów podpycha z wysiłkiem koślawy trap pod drzwi. Pasażerowie w tłoku przepychali się na schodkach i rozsypywali po pasie startowym. Na niektórych czekały

zdezelowane samochody, a na innych nawet rowerzyści.

Po chwili tłumek nowych pasażerów, z wyglądu podobnych do tych z Nigerii, zebrał się znowu pod trapem. Pilot pozbierał większe śmieci spośród foteli, wpakował je w plastikową torbę, podał ją Murzynowi na zewnątrz i szerokim gestem zaprosił następnych chętnych.

Przedział pasażerski rozbrzmiewał tym razem językiem francuskim, a do fotela zbliżył się młody, sympatyczny czarny chłopak.

- *Modem, sir?*

- *What you mean?*

- *You can put modem to your computer and use it -* wskazał brodą neseser Krzysztofa - *only ten dollars.*

- *OK, but you help me to install it.*

- *No problem, you pay me and give it back before landing.*

- *Yes, yes, but first make it working.*

Po chwili ekran laptopa rozświetlił się. Były trzy maile od Doroty i jeden od szefa. Krzysztof zaczął od tego ostatniego. Był jak zwykle krótki: „Po starcie idź do toalety, weź ładunek i wracaj do Gdyni. Hotel i samoloty zabukowane”. Ten mail zepsuł mu humor. Spojrzał tylko na pełne miłości maile od Doroty.

Zgasił komputer i machnął ręką na sprzedawcę modemu. Przy okazji poszukał wzrokiem toalety. Wiedział, że bierze udział w jakiejś niebezpiecznej grze, ale spodziewał się, że

zadanie będzie dopiero w hotelu. Wysupłał pogniecioną dziesiątkę i dał ją Murzynowi.

- *Thank you. Later no range, thank you.* - Chłopak schował modem i pieniądze do kieszeni i wrócił na swoje siedzenie.

Samolot szarpnął, rozpędził się i skierował do nowego *port of destination*. Kiedy lot się wyrównał, Krzysztof wstał i poszedł do toalety. Zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po ciasnym pomieszczeniu. Zajrzał do kosza, ale nic tam nie było. Dotknął pociemniałego lustra, było przykręcone do jakiejś szafeczki. Próbował podnieść tafłę lustra, ale bezskutecznie. W końcu namacał śrubkę niewidoczną na górnej listwie skrzyneczki. Odkręcił ją łatwo palcami i otworzył wieczko, do którego przymocowane było lustro. Za lustrem czekał na niego skórzany pas szerokości około piętnastu centymetrów. Uszyty był tak, że szwy dzieliły go na kilkucentymetrowe przedziały. Kilka z tych schowków było grubych na trzy, cztery centymetry. To był prawdopodobnie ten bezcenny „ładunek”, który miał dostarczyć szefowi. Podniósł koszulę, spuścił spodnie i zapiął na biodrach pas, który miał oprócz klamry rzepy. Uporządkował garderobę i spojrzał na siebie w lustrze - nic nie zdradzało obecności pasa. Wrócił na miejsce i padł na fotel.

Wszystko było świetnie zorganizowane. Widocznie szef obawiał się kontaktować z nim w hotelu. Postanowił przechytryć ewentualnych prześladowców i przekazać to, co przewozi, wcześniej, już w samolocie. Czyli na miejscu

należało zachować szczególną czujność. Nie wiedział dokładnie, w czym bierze udział, ale domyślał się zawartości „ładunku”. Postanowił, że w hotelu schowa gdzieś pas na wypadek nieoczekiwanych odwiedzin w nocy. Może nie brać pokoju, który szef zabukował? Nie, nie, jak będą chcieli, i tak go znajdą. Niech będzie ten pokój, który wybrał szef, ale trzeba być bardzo ostrożnym.

Samolot wylądował po ciemku, a taksówkarz wsadził go w zdezelowaną mazdę, w której nie zamykały się drzwi. Po półgodzinie zatrzymał się pod hotelem oblepionym pomarańczowymi światełkami. Dostał klucz od pokoju na piątym piętrze.

Szedł z walizeczką w dłoni wzdłuż korytarza, kiedy poczuł zapach perfum z samolotu, zapach kobiety w białych pończochach! Spojrzał na drzwi. Numer pięćset dziewięć. Nagle przypomniał sobie co to za perfumy. Ciemnoniebieska, pękata buteleczka ze smukłą szyjką. Kupił kiedyś taką dla Weroniki, kiedy młodzieńczo ją kochał. Perfumy nazywały się Pani Walewska.

Błyskawica przeszła mu przez głowę. „Pani Walewska”? Polskie perfumy tu, w hotelu w czarnej Afryce? Czyli ta kobieta leciała za nim z Gdańska i już tu była. Przed nim. To nie może być przypadek!

Znalazł swój pokój pięćset jeden i rzucił się na łóżko. Myślał przez kilkanaście minut. Potem wstał, zdjął pas i usiadł przy biurku. „Ładunek” był w sześciu „komorach” pasa. Pięć było pustych i płaskich. Hotelowym nożem rozpruł

nici z góry na jednym z przedziałów pasa. Wcisnął tam telefon, kartę płatniczą i dowód. Złączył szew kawałkiem cienkiego drutu, który gdzieś kiedyś znalazł.

Zapalił górne światło i rozejrzał się po pokoju. Był standardowy – szerokie łóżce, szafa i komoda z lustrem, obok telewizor. Łazienka równie banalna. Spojrzał w stronę balkonu. Otworzył drzwi na czarny, gorący żar pełen bzyczenia i ćwierkania cykad. Balkon był metr od sąsiedniego, na którym stała drewniana donica z klepek z rosnącą w niej półtorametrową palmą. Krzysztof przerzucił nogi przez jedną, a potem drugą barierkę. Złapał palmę za pióropusz i podniósł do góry – wyszła razem z kilkukilogramową grudą ziemi. Położył w donicy zwinięty pas i wsadził palmę z powrotem. Po omacku wyrównał ziemię i zgarnął do czysta z balkonu.

Wrócił do siebie i wszedł do łazienki. Woda z prysznicą była chłodna, ale przyjemna. Namydlił się solidnie, spłukał i wytarł. Położył się i zaczął analizować ostatnie godziny. Szef musiał zorganizować tego chłopaka z modemem, żeby na czas dostał wiadomość, gdzie jest schowany pas. Inaczej wszystko by się posypało. A co tu robi kobieta od Pani Walewskiej?

Nie miał wątpliwości, że to ta sama. Ale jaki miałyby związek z nim i szefem? Może to przypadek?

Po wyciągnięciu tego wniosku spokojnie zasnął.

ROZDZIAŁ VIII

Marcelina, nie wypuszczając dźwiękowej pocztówki z dłoni, spuściła nogi z łoża, włożyła podomkę i zeszła po schodach do kuchni. Nastawiła ekspres na kawę i usiadła na zydłu. Zanurzyła się znowu we wspomnieniach sprzed lat.

„Lamparci” minikostiumik bikini ledwo zasłaniał jej szesnastoletnie ciało – piękne, żądne życia i miłości. Na imię miała Marcelina, ale ukochany mówił na nią Królowna z nieznanых jej powodów. Od czasu, kiedy spotkała go w klubie Herkulesy, a on właściwie ją zgwałcił, nie była mu w stanie się przeciwstawić. Spotykali się rzadko w różnych mieszkaniach kolegów, którzy mieli akurat „wolną chatę”. Do szkoły chodziła, bo musiała, świat wydawał jej się piękny, a życie proste. Pochodziła z zamożnego domu, jej ojciec był człowiekiem wpływowym.

Maj był wtedy piękny i rozkwitał zapachami lata, ale do końca roku szkolnego pozostał jeszcze miesiąc. Bzy i narcyzy na plantach pachniały upojnie, pary na ławkach przytulały się. Seledynowa, wiosenna zieleń była wszędzie. Marcelina nie zazdrościła parom na ławkach, miała swoją słodką, radosną tajemnicę, była w transie swojej miłości, promieniała szczęściem, które biło od niej i dodawało jej urody.

Kiedyś spotkali się w jakimś mieszkaniu w budynku obok dworca kolejowego. Lokum załatwiła tym razem ona, korzystając z uprzejmości koleżanki, której rodzice wyjechali do Bułgarii na wczasy.

Koleżanka była przysadzista i pryszczata, żyła ich miłością, bo Marcelina opowiadała jej o wszystkim, co się wydarzyło na każdej randce. Halina słuchała z wypiekami na twarzy i tęsknym spojrzeniem rozmarzonych oczu. Nie mogła liczyć na taką szaloną miłość, więc kibicowała koleżance. Miała zwyczajne imię i była pewna, że jej życie potoczy się tak, jak jej starszej siostry i jej koleżanek. Czyli że może skończy jakieś studia, potem zamieszka w wieloklatkowym bloku, wyjdzie za męża, urodzi dzieci i roztyje się. Nie miała żadnych złudzeń. Dlatego to, co zdarzyło się Marcelinie, było dla niej jak piękna bajka. I trzeba przyznać, że Halina trzymała język za zębami, załatwiając im lokum i biorąc honorarium w postaci relacji Marceliny.

Mieszkanie było dwupokojowe, na parterze domu wzniesionego już po wojnie. Dom był porządnie zbudowany, ale klatka brudna, z odrapanymi ścianami. Marcelina otworzyła drzwi i weszła do skromnego, ale czystego mieszkania. Tapczan był zaścielony świeżą pościelą.

Kochana Halinka - pomyślała.

Już piętnaście minut później pościel była zmięta, Wojtek, leżąc, palił papierosa, a ona robiła im w kuchni herbatę.

- Królewno, pojedziemy do Augustowa? Mogę tam załatwić domek kempingowy nad Neckiem...

- Do Augustowa? Mam niedługo koniec roku... ale co tam, dobrze, kochany. Na jak długo?

- Sam nie wiem. Kumpel ma ten domek... Na tydzień może. Pobawimy się. Mam longplaya *Jimi Hendrix & Band of Gypsies*. Potańczymy, popływamy. Wicherek mówił w telewizji, że pogoda będzie super. Załatwić bilety na autobus?

- Załatw. To kiedy ruszamy?

- Pojutrze, w sobotę. Akurat tam będzie zabawa w domu wczasowym.

- Dobrze, gdzie się spotkamy?

- Na dworcu autobusowym na Jurowieckiej.

- O której?

- Przyjdź o dziesiątej na stanowisko autobusu do Augustowa.

- Dobrze - powiedziała, wnosząc tacę do sypialni.

Wyskoczył z łóżka, wyrwał jej tacę i postawił na stole, po czym podniósł ją na rękach i położył delikatnie na tapczanie. Jeszcze bardziej wymięli pościel.

Marcelina, a właściwie teraz „Królowna”, przebiegała myślami wydarzenia tamtych dni, rozkoszując się wspomnieniami. Wtedy w ogóle nie martwiła się, co będzie potem.

Dojechali nad Necko. Domek okazał się całkiem przyzwoity, nowy, pomalowany brunatną farbą. Sosnowy las pachniał rozgrzаныmi igłami, a noce były niewiele chłodniejsze od dni. Noce były zresztą magiczne i rozkoszne, pełne cudownych wyznań i miłości.

Rankami kąpali się w jeziorze, Wojtek popisывał się, skacząc z rozpędu z drewnianego pomostu do wody, przytulali się i całowali w wodzie, nic sobie nie robiąc z tego, że nie są sami. Potem szli do miasta, żywili się jakąś kiełbaską z rusztu czy rybą i zastygali przytuleni na pomoście, wpatrując się w zachód słońca.

Kiedy usłyszeli z domu wczasowego echa rockowej muzyki, wstawali i szli, całując się co chwilę, w tamtą stronę. Wchodzili w rozgrzany tłum tancerzy, promieniejąc szczęściem i zwracając powszechną uwagę swoją urodą. Tak bawili się przeważnie do północy i wracali do swojego domku, czekającego cierpliwie pod sosnami.

Na drugi dzień po przyjeździe znaleźli w domku jakąś gitarę, Wojtek dokupił nowe struny i brzdąkał od tej pory, śpiewając jej modną wtedy *Beatę*. Śpiewał ładnie, nie przeszkadzała jej banalna melodia i głupie, ale piękne słowa o naiwnej, młodej miłości do Beaty.

Ekspres przestał pyrkotać, więc wstała i naląła sobie kawy. Spojrzała w okno. Na tle niebieskiego nieba chwiały się od wiatru zuchowate czuby sosen. Westchnęła i usiadła znowu przy stole. Co ta kartka od Wojtka miała teraz znaczyć? Że on żyje? Że ją ciągle kocha? A może to czyjś

brzydki żart? Nie, nie, czuła, że on ciągle jest, i zrobiłaby wszystko, żeby go spotkać.

ROZDZIAŁ IX

Obudził się, ale nie otwierał oczu. Słońce świeciło mu w twarz, przeświecając czerwono przez powieki. Przypomniawszy sobie, gdzie i po co jest, wracał do rzeczywistości i pierwsze, z czego zdał sobie sprawę, to to, że czuje intensywny zapach perfum Pani Walewska. Potem poczuł na sobie wzrok wielu par oczu. Sprężył się i planował jednym skokiem zerwać się z łóżka, uderzając jednocześnie głową w twarz jednego przeciwnika, a drugiego czy trzeciego znokautować, ale oni byli szybsi.

Kilka par silnych rąk chwyciło go za ramiona i nogi, przyciskając mocno do łóżka. Czterech czarnoskórych w mundurach khaki trzymało go, a trzech innych celowało do niego z kałachów. Ich dowódca zapewne, grubszy, z dystynkcjami i w czarnych okularach zwracał się do wysokiego, białego mężczyzny w T-shircie.

- *Is okay, sir?*

- *Yes, take him to the truck.* - Biały wręczał oficerowi zwitek banknotów.

Oficer uśmiechnął się szeroko. Obrócili go plecami do góry i skuli mu ręce na plecach. Kątem oka zobaczył obuwie białego. To były kowbojskie buty gościa, którego widział na lotnisku w Gdańsku. Prawie w powietrzu wynieśli go

z pokoju i ruszyli do windy. W windzie założyli mu na głowę worek. Poczuł jeszcze, że rzucają go na pakę pick-upa, a potem ukłucie. Zanim zasnął, poczuł, że zdejmują mu kajdanki.

Obudził się w cieniu trucka. Leżał na boku. Otworzył odrobinę oczy i zobaczył tylko trawę wysoką na pół metra. Leżał spokojnie. Czuł zapach benzyny zmieszany z wonią kwiatów. Z szoferki dobiegał cichy głos, chyba radia.

Wyglądało na to, że pick-up stoi na małym wzniesieniu. Z szoferki dobiegł trzask otwieranych drzwi, więc natychmiast opadł do pozycji, w jakiej leżał poprzednio. Oczy miał zamknięte, ale czuł, że tamten wyskoczył z auta, podszedł do niego i trącił go nogą.

- Śpi jeszcze - krzyknął po polsku w stronę szoferki - mamy jakieś pół godziny, może godzinę, zanim będzie mógł mówić!

- No, to mamy czas - odpowiedział kobiecy głos. - Cholera, nie działa to pieprzone *air condition*!

- *C'est l'Afrique* - skomentował facet.

- A jak chcesz go zmusić do mówienia? - spytała kobieta.

- Zobaczysz, kochanie.

- Wolę nie patrzeć.

- To nie, ale powie, co trzeba. Na pewno. A potem zastrzelę go z jego własnego gana. Otwórz tamte drzwi,

będzie trochę przeciągu... – dodał, wsiadając do szoferki.

Krzysztof myślał intensywnie, co robić. Przejrzeli pewnie komputer, ale miał zwyczaj kasowania korespondencji po przeczytaniu. Czego chcieli się dowiedzieć? To jasne. Chodziło o towar szefa. Ręce miał skrępowane na plecach. Próbował nimi poruszyć. Usłyszał trzask plastra. Był więc związany plastrem. Nogi miał wolne. Przypomniał sobie z wojska, co powinien zrobić.

– No co ty! W tej sytuacji? – dobiegło nagle z trucka.

– A co masz innego do roboty. Sam mówiłeś, że mamy co najmniej pół godziny. No, zanim się obudzi.

– Mamy. Ty Inez działasz na mnie... Już jestem napalony...

Krzysztof zgiął się w pałąk i próbował przeciągnąć nogi przez skrępowane ręce, ale nie dał rady. Radio w szoferce zawyło nagle rock and rollem. Dostrzegł, że tylny błotnik toyoty jest zardzewiały, a jego krawędź ostra jak brzytwa.

Usiadł i opierając się o burtę wozu, znalazł po omacku ostrą krawędź i podłożył pod nią plaster na nadgarstkach. Delikatnie zaczął poruszać plastrem w dół i w górę, kiedy nagle auto zaczęło chybotać się samo w górę i w dół, jakby chciało mu pomóc. Para w szoferce kochała się w najlepsze. Śmiał się w myślach z sytuacji i po chwili ręce miał wolne.

Wstał ostrożnie. Drzwi szoferki były otwarte i para zabawiała się, stękając namiętnie. Teraz rozejrzał się wokół – po horyzont widział tylko sawannę. Jak ucieknę, dogonią mnie autem bez trudu – pomyślał. I mają broń. Moje

magnum. Ostrożnie, żeby nie znaleźć się w polu widzenia lusterek, zajrzał na pakę toyoty i ucieszył się, bo oprócz linki holowniczej dostrzegł tam małą szpachelkę.

Auto huśtało się w rytm amorów pary w szoferce i rock and rolla, skrzypiąc rytmicznie w zawieszeniach. Krzysztof ze szpachelką w ręku schylił się nad tylnym kloszem świateł pozycyjnych. Po chwili niklowana ramka odskoczyła. Wyjął klosz i żaróweczkę światła stopu. Przeciął szpachelką kable. Wyjrzał ostrożnie i zobaczył z boku korek wlewu paliwa. Tak jak przypuszczał, nie był zamknięty na kluczyk. Odkręcił korek i szarpnął przewody. Brakowało dwudziestu centymetrów do wlewu. Przeciął jeszcze światła pozycyjne i zesztukował kable. Wsadził je do baku i przytknął zakrętką, żeby nie wypadły. Tyłem ostrożnie wycofał się.

Kiedy był kilka metrów od auta, po prostu zaczął biec. Po kilku minutach usłyszał krzyki za plecami. Potem krótki warkot motoru i eksplozję.

Obejrzał się – auto płonęło. Dwa razy się przeżegnał.

Idąc po śladach opon, doszedł do jakiejś drogi. Droga była wyjeżdżona przez nieliczne chyba pojazdy, miała koleiny z czerwonej, gliniastej ziemi. Było wczesne popołudnie i Krzysztof po chwili obserwacji słońca skierował się mniej więcej na zachód, gdzie powinno być miasto.

Szedł i rozmyślał nad ostatnimi wydarzeniami. Dziękował swojej intuicji, że schował pas z ładunkiem szefa i że ukrył w nim swój telefon i kartę bankową. Teraz ważne było, czy uda mu się dostać do swojego pokoju. Słońce paliło, ale

przypomniawszy sobie, że powinien mieć złożoną w tylnej kieszeni bejsbolówkę.

Nie mylił się i po półgodzinie marszu dostrzegł na horyzoncie czubki dźwigów portowych. Umazał twarz i kark czerwoną gliną z kolein, bo nie chciał za bardzo rzucać się w oczy jako biały. Po chwili zawiązał jeszcze chusteczką twarz, tak żeby było widać tylko oczy. Zawinięte rękawy odwinął i zapiął guziki mankietów.

Wkrótce dotarł do przedmieścia. Pojawiły się rzadkie palmy, prymitywne chaty, kury i czarne świniaki poprzywiązywane za tylną nogę do palm. Było pusto. Po piętnastu minutach dalszego marszu zabudowa zgęstniała, pojawiły się sklepiki i samochody. Szedł w stronę centrum, czyli w kierunku kilku wyższych niż pozostałe w okolicy domów. Wyszczerbione chodniki zastąpiły czerwoną glinę i za jedną z przecznic pojawił się jego hotel.

Krzysztof rozejrzył się. Ruszył w stronę sklepiku poobwieszanego reklamami domowej roboty. Wszedł do dusznego, ciemnego wnętrza. Murzyn za kontuarem wstał na jego widok. Krzysztof wziął ze skrzynki dwie półtoralitrowe butelki wody sodowej i położył na ladzie pięć dolarów.

- *Change for you* - warknął i wyszedł.

Znalazł jakiś zaułek na tyłach szopy, zagrodzony po bokach płotami. Postawił jedną butelkę na ziemi, z drugiej nalał wody na dłoń i umył twarz. Dwie butelki wystarczyły na zmycie czerwonej gliny i solidne napicie się. Przechodząc znów ulicą w stronę swojego hotelu, próbował przejrzeć się

w szybach wystaw i wydawało mu się, że wygląda raczej normalnie.

Wszedł do hallu. Było odrobinę chłodniej, hall i recepcja były puste. Zza kontuaru recepcji zabrał wiszący na haku klucz z numerem pięćset jeden. Wbiegł po schodach i otworzył drzwi. W pokoju chyba nikogo nie było, odkąd go wyprowadzono. Brakowało jego walizeczki i widać było bałagan po pobieżnej rewizji.

Odпочzął chwilę na fotelu. Kiedy oddech mu się uspokoił, wstał i otworzył drzwi na balkon. Wszedł. Na balkonie obok, na którym stała donica z palmą, znajdował się jakiś biały grubas w okularach. Krzysztof wyglądał chyba jednak nie najlepiej, bo grubas pospiesznie skłonił się, uciekł do pokoju i zasłonił szczelnie okna.

Przeskoczył na jego balkon, wyjął palmę z doniczki. Pas leżał tak, jak go zostawił. Chwycił go i wsadził palmę na powrót w donicę. Przeskoczył na swój balkon. Otrzepał pas z ziemi, położył na stoliku, zaparł drzwi krzesłem i szybko się wykapał. Wytarł się i spojrzał krytycznie na brudną koszulę. Wyprał ją szybko przy pomocy hotelowego mydła i powiesił na balkonie.

Rzucił się na łóżko i odpoczywał, pilnując, żeby nie zasnąć. Myślał, jak się stąd wydostać. Nie miał paszportu, zresztą lokalne władze na pewno go nie wpuszczą do samolotu. Nie wiedział, kim byli ci, którzy go stąd wyprowadzili, ale nosili mundury. Drogą lądową nie sposób było podróżować. Bez mapy, kompasu, broni? A do tego

moskity, dżungla, rzeki... Tylko statek. Ale też tylko jako „blinda”. Spojrzał na zegarek - dochodziła czwarta po południu.

Obudził się przestraszony, że zasnął. Za oknem było ciemno. Zapiął pas szczelnie, włożył koszulę, odblokował drzwi i poszedł wzdłuż korytarza. Drzwi pomieszczenia gospodarczego były uchylone. Wszedł. Stały tu wiadra, mopy, wózki i odkurzacze. Otworzył szafkę z bezpiecznikami prądu. Znalazł w niej dwa śrubokręty i kombinerki. Wszystko to zgarnął i schował do kieszeni.

Zszedł na dół. Panienska w recepcji była zajęta rozmową telefoniczną, więc przeszedł obok niej i wyszedł na ulicę. Wsadził rękę do kieszeni i wyjął drobne. Było tego dwadzieścia sześć dolarów amerykańskich. Poszedł do znanego sklepiku. Pod sufitem paliła się żarówka, ale Murzyn wymytego i uczesanego nie poznał. Wybrał kilkanaście czekolad i batonów, i jeszcze jedną butelkę wody sodowej. Dał mu dwadzieścia dolarów i wyszedł.

Światła na ulicach były rzadkie i słabe. Kiedy doszedł do portu, okazało się, że terminal był ogrodzony czterometrowym płotem zwieńczonym drutem kolczastym. Każdą ciężarówkę wjeżdżającą do portu kontrolowało kilku uzbrojonych w kałachy strażników. Niezauważony skręcił i poszedł wzdłuż płotu w stronę ciemniejszej części portu. Szedł dobre dziesięć minut, kiedy po drugiej stronie płotu zauważył jakąś budę zrobioną ze starego, pordzewiałego kontenera. Kilkadziesiąt metrów za budą świeciła ostro

wysoka lampa halonowa, co pozwalało budzie znajdować się w cieniu wysokiej na ponad dziesięć metrów, ustawionej w czterech warstwach, ściany kontenerów. Żadnych ludzi nie było widać. Z oddali dobiegał szcęk przeładunku. Była dwudziesta druga dwadzieścia pięć.

Krzysztof odczekał jeszcze chwilę i wyjął z kieszeni kombinerki. Ciął grube druty siatki z trudem, tuż przy ziemi, żeby nie było widać uszkodzenia płotu. Po półgodzinie wyteżonej pracy szczelina długości pół metra była gotowa. Przełożył butelkę wody i przedostał się sam na drugą stronę. Zamaskował przejście suchą trawą.

Przemknął w stronę budy. Były w niej jakaś ławka i przemoczone kartony. Krzysztof ruszył w stronę kei „ulicami” utworzonymi z wielu bloków kontenerów. W końcu dotarł na miejsce, ostrożnie wyjrzał i zobaczył statek. Keja była oświetlona jasno jaskrawym, pomarańczowym światłem. Był bliżej dziobu statku, na którym widniała nazwa „Walvis Bay Star”. Cztery dźwigi statkowe ładowały z lądu puste kontenery, podwożone pod burtę przez rolltrailery. Robotnicy podczepiali haki i kontener wędrował na statek. Przedtem jednak każdy był sprawdzany. Jeden z dokerów po sprawdzeniu plombował go. Przed statkiem wzdłuż burty przechadzało się ponadto dwóch uzbrojonych strażników.

Krzysztof ostrożnie wycofał się do swojej budy. Położył się na ławce i zaczął myśleć. Mógł próbować schować się do kontenera, ale to było ryzykowne. Po pierwsze sprawdzali. Po drugie widział kiedyś w telewizji, jak ciasno ustawione są

kontenery w ładowni statku. Umarłby z głodu i pragnienia, nie mogąc wyjść. No, chyba żeby kontener był ustawiony drzwiami do ściany grodzi wodoszczelnej, a drzwi otwarte. Ale na takie szczęście wolał nie liczyć. Ale zaraz... a jakby spróbować wdrapać się po cumie? To nie powinno być trudne. Później wystarczyłoby gdzieś się ukryć.

Przespał się na ławce i obudził o trzeciej w nocy. Wypił do dna swoją butlę wody. Potem przebył jeszcze raz drogę do kei. Wyjrzał ostrożnie zza ściany kontenerów. Dokerzy chyba mieli przerwę, bo dźwigi zamarły, a uzbrojeni strażnicy rozmawiali przy trapie z watchmanem. Dwie długie cumy były zaczepione o jeden poler, potem krótsza i jeszcze dwa szpringi.

Schylony podbiegł do krawędzi kei i chwycił mocno grubą jak ramię linę. Objął ją nogami, wspięcie się po niej do kluzy zajęło mu najwyżej pół minuty. Zdjął tarczę na linie, zakładaną w portach przeciw szczyrom, i precyzyjnie przesunął się przez kluzę. Przebiegł kilka kroków i schował się w cieniu windy kotwicznej. Nagle pod nogami poczuł czyjeś ciało.

- *Fuck you, Alan, what are you doing?* - dobiegł wściekły głos.

- *Sorry, that's me... Pissing...* - rzucił w przestrzeń.

Podszedł do miejsca, gdzie łańcuch kotwiczny wchodził w metrowej średnicy kluzę w pokładzie. Rozpiął rozporek i zaczął w nią sikać.

Po burcie od strony wody zbiegł cicho po schodkach na

pokład. W ścianie baku było kilka wodoszczelnych drzwi, ale na wszystkich wisiały potężne kłódki. Między szotem baku a zrębnicą pierwszej ładowni zauważył w pokładzie otwarty właz i bijące z niego słabe światło. Zajrzał do środka... Drabinka prowadziła w głąb ładowni.

Wszedł do włazu i spuścił się po drabinie – dalej w dół prowadziła następna drabinka i tak chyba aż do dna. Zszedł w dół dwa podesty i zauważył wygięte drzwi kontenera, zawiązane byle jak kawałkiem zardzewiałego drutu. Bez trudu zmieścił się w szczelinie między drzwiami a podłogą i za chwilę leżał całkiem wygodnie na jakiejś tekturze we wnętrzu kontenera...

Stali w czwórszeregu na olbrzymim podwórzu koszarów. Widział przed sobą ostrzyżony do skóry z jasnych włosów tył głowy „Generała” Tomaszewskiego. Pseudonim „Generał” nadano szeregowcowi Tomaszewskiemu podczas jakiejś kontroli w koszarach, kiedy meldując salę sierżantowi, zapomniał ze strachu przedstawić się stopniem. Widział więc tył ogolonego łba „Generała”, jego czerwone z zimna uszy i bordowy beret na czubku głowy.

Stali tak z bronią już godzinę, czekając na generalicję, która podobno miała przyjechać na ich przysięgę. W końcu usłyszeli warkot silników i z za rogu baraku koszar wyjechały dwa gaziki i czarna wołga. Za chwilę kolumna zniknęła za udekorowaną flagami trybuną. Starsi oficerowie w galowych mundurach i z dużą liczbą medali zajęli reprezentacyjne

miejsca.

Stał spokojnie w drugim szeregu za „Generałem” i cieszył się, że w końcu to wszystko się zacznie. Jako „Wzorowy Żołnierz” został wyznaczony do wygłoszenia podziękowania generalicji za przybycie na ich przysięgę.

Ceremoniał przysięgi przebiegł bez zakłóceń. Mieli to wytrenowane dziesiątki razy na sucho. Gdy przebrzmiało echo setek gardeł, najwyższy stopniem na trybunie wyraził parę standardowych życzeń i podziękowań, przede wszystkim dla kadry oficerskiej.

Po chwili przerwy głos zabrał ich szef kompanii. Pytanie było również trenowane i brzmiało: „Czy któryś z żołnierzy chce zabrać głos?”. Krzysztof regulaminowo klepnął w ramię „Generała”, a ten regulaminowo wykroczył przed szereg, dając mu miejsce do wystąpienia. Wszedł przed szereg krokiem defiladowym, zatrzymał się i wygłosił w stronę trybuny „serdeczne” podziękowania. Po uzyskaniu równie serdecznych podziękowań za podziękowania sierżant zwrócił się znów do niego.

- Szeregowiec, dziękuję wam, możecie wstąpić!

Krzysztof regulaminowo zrobił w tył zwrot, a „Generał” znowu wystąpił z pierwszego szeregu, żeby mu umożliwić powrót na miejsce.

Obudził go łoskot zwielokrotnionych echem kroków. Przez chwilę przypominał sobie, gdzie jest i co tu robi, a potem

podczołgał się do wygiętych drzwi kontenera. Ktoś schodził po drabince. Minął jego poziom i poszedł w dół, ale za chwilę kroki zaczęły się zbliżać. Człowiek z latarką przeszedł jego podest od burty do burty, jakby kogoś szukał. Poświecił chwilę na wygięte drzwi „jego” kontenera, ale wrócił do drabinki i poszedł na górę.

Leżał jeszcze chwilę i spojrzał na fosforyzujące wskazówki zegarka. Dochodziła szósta rano. Gdzieś w górze na pokładzie rozległy się kroki i szum elektrycznych silników. Silniki włączały się i gasły, tupot kroków rozlegał się co chwilę i kadłub zadygotał w końcu od pracy potężnego silnika o wielu tysiącach koni mechanicznych.

Krzysztof odetchnął. Wyglądało na to, że jego improwizowany plan się powiódł i statek wychodzi w morze.

ROZDZIAŁ X

Świat Marceliny zawalił się po powrocie z Augustowa. Okazało się, że nauczyciele i rodzice z powodu braku jakichkolwiek wiadomości o tym, co się z nią stało, postanowili, że gdy wróci, dadzą jej nauczkę. Do końca roku pozostały jeszcze dwa tygodnie i ten tydzień nieobecności nie powinien zaważyć aż tak na promocji do klasy maturalnej, ale zdecydowano działać prewencyjnie, żeby już nigdy więcej nie robiła takich numerów. Uczyła się trochę lepiej niż średnio, ale obniżono jej stopień ze sprawowania do dostatecznego, co oznaczało, że jest prawie kryminalistką.

Płakała, rozpaczała, ale wcale nie z powodu szkoły. Od powrotu do domu nie miała żadnej wiadomości od Wojtka. Nie wiedziała, co się z nim dzieje ani gdzie go szukać. Nie przestając płakać, przyjęła do wiadomości, że jej wpływowy ojciec jakoś dogadał się ze szkołą i warunkowo przepuszcza ją do maturalnej klasy.

Prawdę mówiąc, dla niej to nie był żaden problem w porównaniu ze zniknięciem ukochanego. Widziała go w każdym chłopaku na ulicy, który choć trochę go przypominał. Kiedy okazywało się, że to znowu nie on, popadała w apatię.

A on zapadł się pod ziemię.

Jedyną osobą, której mogła się zwierzyć, była kochana Halina. Przed nią nie miała tajemnic. Razem próbowały go szukać, ale jak się okazało, nie wiedziały o nim właściwie nic. Halina próbowała ją jakoś rozerwać, żeby chociaż na chwilę zapomniała o Wojtku, ale smutek i łzy wracały zaraz po imprezie. W lipcu wyciągnęła ją na koncert Czerwonych Gitar, ale Marcelina szlochała przy każdej sentymentalnej piosence. Na dwóch prywatkach, na które udało się jej Marcelinę wyciągnąć, ubaw był średni - Marcelina tańczyła niechętnie, uciekała do łazienki. W końcu spotykały się tylko na ławce na Plantach, żeby go wspominać i zastanawiać się, co to się mogło stać.

Ostatecznie ustaliły obie, że Wojtek jej nie kochał i należy się z tym pogodzić. Halina w głębi serca wcale w to nie wierzyła, bo takiej szalonej miłości jak ich nie widziała nawet w *Love Story*, więc absolutnie nie było możliwe, żeby to uczucie w ogóle mogło się kiedykolwiek skończyć.

Ale nie to było najgorsze, co ją spotkało w tamtym roku. Po koniec września okazało się, że jest w ciąży. Jej naturalna kobiecość oszalała ze szczęścia, że będzie miała coś, co należy na pewno do niego. Ale w tamtej rzeczywistości uznano ją niemal za zbrodniarkę - była przecież w ciąży w maturalnej klasie i na dokładkę nie miała chętnego na męża. Rodzice i ich znajomi oraz wychowawczynie przedstawiali straszne wizje przyszłości - ciężkie życie samotnej matki, bez wykształcenia, bez matury, bez pracy, pogardzanej i poniżanej przez wszystkich.

Wojtek dalej się nie pokazywał, zaczynała wierzyć, że w ogóle nie istniał. W końcu zgodziła się na aborcję, co wprowadziło rodziców w ekstazę szczęścia, a ją pogrążyło w depresji. Kiedy wróciła od lekarza, nie wychodziła przez tydzień z pokoju, a potem podcięła sobie żyły. Drzwi do łazienki wyłamano, rany zaleczono i wróciła po miesiącu blada i smutna do szkoły. Na studniówkę w ogóle nie poszła, maturę zdała nieźle i dostała się do Warszawy na uniwersytet.

Jej wydział był elitarny, pełen zarozumiałych bubków, którzy mieli wpływowych i znanych rodziców, oraz zidiociałych, wystrojonych dziewczyn, które poszły na dziennikarstwo, bo to było modne.

Trwała więc na studiach, które nie były trudne, czasem nawet uczestniczyła w jakichś zabawach w klubach i na prywatkach, miała paru chłopaków. Gdzieś tam głęboko w sercu trwały jednak żal, smutek i pretensja do życia.

ROZDZIAŁ XI

Statek zaczął lekko kołysać. Była godzina dziesiąta rano i Krzysztof poczuł pragnienie. Nie wiedział, dokąd płynie i jak długo będzie musiał tu pozostać. Powyciągał z kieszeni rozmiękłe od ciepła batony i czekolady. Poukładał je rzędem pod ścianą kontenera. Potem zaczął sobie przypominać z wojska, jak długo człowiek może przeżyć, nic nie jedząc. O ile pamiętał, to około sześćdziesięciu dni. Oczywiście przeciętny człowiek w średnich warunkach. Dużo gorzej było z piciem. W normalnym klimacie dało się żyć bez wody pięć, sześć dni.

Trudno, postara się wydostać na zewnątrz w nocy. Statek był według jego oceny długi na mniej więcej dwieście metrów. Miał nadzieję, że nikt tu po nocy nie będzie się pętał.

Wyślizgnął się z kontenera i zobaczył, że lampy pod sufitem świecą. Podeszedł do drabinki i zajrzał na dół – tam też świeciły. Zszedł ostrożnie i znalazł następne i jeszcze kolejne drabinki prowadzące w dół. Powietrze zrobiło się chłodniejsze – chyba był pod linią wodną.

W końcu doszedł do dna ładowni. Zauważył, że we wgłębieniach stalowego dna zebrało się trochę wody, chyba deszczowej. Wsadził palec – była wstrętna w smaku, ale nie

słona. Miał nadzieję, że będzie tu, gdyby musiał po nią wrócić.

Przeszedł się w poprzek statku – naliczył trzydzieści dwa kroki. W rogu zauważył jakąś stalową klapę. Była bardzo ciężka, ale ją podniósł. Zasłaniała dziurę o wymiarach, jak oceniał, półtora metra na osiemdziesiąt centymetrów. Dziura wypełniona była wodą, niestety brudną, z pływającymi na powierzchni plamami oleju.

Zasunął klapę, wdrapał się na górę i wszedł do swojego kontenera. Zaczął myśleć o Dorocie i jak to będzie, gdy wróci do Gdyni i się z nią spotka. Marzył o spacerze przez bulwar, o plaży, o wspólnych posiłkach i kawie przy telewizorze.

Leżał tak leciutko kołysany. Słabo wyczuwalne drżenie statku, chyba od silnika głównego, uspokajało. W końcu zasnął.

Obudziło go gorąco i wyschnięte gardło. Spojrzał na zegarek – dochodziła ósma wieczór. Nie był pewien, czy na zewnątrz jest na tyle ciemno, żeby spróbować wydostać się na pokład. Zaczął się gimnastykować, by czymś się zająć.

Potem wydostał się z kontenera i wdrapał się po drabinkach na górę, do włazu. Rygle były zamknięte, ale oprócz nich przetknięty był na krawędzi włazu kawałek płaskownika zablokowany przetyczką. Ostrożnie obrócił rygle. Na szczęście były dobrze nasmarowane towotem i nie skrzypiały. Potem wyjął przetyczkę i pchnął płaskownik do góry na zewnątrz. Podszedł jeszcze stopień wyżej i napaął karkiem na klapę. Klapa podniosła się o pięć centymetrów.

Na zewnątrz było już prawie ciemno. Trwał tak chwilę i nasłuchiwał, ale nie było słychać żadnego ruchu na pokładzie. Podniósł klapę do końca i zaraz zamknął z powrotem. Wrócił na dół i poszukał włącznika. Zgasił światło, żeby odbłaskiem otwartego włazu nie zdradzić swej obecności. Trochę pewniej wyszedł na pokład.

Ściana baku połyskiwała - tym razem na żadnych drzwiach nie było kłódki. Drzwi były oznaczone najróżniejszymi napisami: „CO2 room”, „Paint store”, „Bow thruster”. Otworzył największe drzwi. Wszedł przez wysoki próg i zamknął za sobą, ryglując. Zastygł w kompletnej ciemności. Poczł zapach farb i smarów. Usiadł na stopniu, czekając, aż wzrok się przyzwyczai, ale nic nie pomagało.

W końcu sięgnął do pasa i wyjął telefon. Słabo, ale świecił. Pomieszczenie było ogromne - z przodu leżały metrowej wysokości buchy splątanych lin, na półkach jakieś reflektory i narzędzia, szakle, kawałki łańcuchów. Schody prowadziły w dół. Zszedł więc po schodach na jakby półpiętro i użył włącznika na ścianie. Światło dawało trochę blasku na górę. Miał nadzieję, że nie było widoczne z zewnątrz.

Wrócił na górę i zaczął prawie po omacku penetrować ściany pomieszczenia. Zauważył, że za linami jest dość miejsca, żeby się schować. Minął jakieś przymocowane beczki i nagle serce skoczyło mu z radości do gardła. Na rurce o średnicy trzy czwarte cala był mosiężny kran. Odkręcił go, modląc się, by był sprawny.

Działał bardzo dobrze - woda była ciepła, ale na szczęście nie słońca. Napił się solidnie i wrócił do wejścia, przy którym widział jakąś plastikową butelkę. Butla była pięciolitrowa z niebieskim korkiem. Wypłukał ją solidnie i napełnił po wlot. Zakręcił i ruszył do wyjścia. Zachowując te same środki ostrożności, zlazł na dół i wślizgnął się do swojego kontenera, stawiając bezcenną butelkę przy głowie posłania z kartonów.

- Ma się ten fart - mruknął do siebie zadowolony i spojrzął na zegarek. Była dopiero dwunasta w nocy.

Położył się i nawet nie zdążył pomyśleć o Dorocie. Po prostu natychmiast błogo zasnął.

ROZDZIAŁ XII

Janusz szedł środkiem Galerii Jurowieckiej i obserwował swoje buty. Były to mokasyny, całkiem jeszcze nowe, z ciemnozielonego zamszu, zszywane białym rzemieniem, co dawało im jeszcze bardziej miękkiej i młodzieżowy wygląd.

Często obserwował swoje buty. Kiedy zaczął się zastanawiać, dlaczego tak często to robi, doszedł do wniosku, że jest człowiekiem bardzo nieśmiałym, wręcz tchórzliwym i dlatego, żeby ktoś nie powiedział o nim, że spuszcza oczy jak panienka, udaje, że buty szczególnie go interesują.

Janusz nazywał się Gaborski i wkrótce miał przejść na emeryturę. Mniej więcej około czterdziestki zaczął zastanawiać się nad swoim życiem. Teraz już prawie sześćdziesięcioletnim. Ponieważ zawsze na wszystko szukał potwierdzenia w wiedzy książkowej, znalazł jakieś wydawnictwa i przekonał się, że wszyscy czterdziestoletni faceci tak mają. Uspokojony więc zaczął robić bilans swojego czterdziestoletniego wtedy życia i ten bilans wypadł bardzo smętnie - z powodu nieśmiałości, którą, gdy był sam, nazywał desperacko tchórzostwem.

Pierwszy raz zaczął się nad sobą zastanawiać już w VII LO. Przyglądał się wtedy swemu odbiciu w lustrze i widział

dość wysokiego, chudego młodzieńca z grzywką, bladego, o szarych, nieokreślonych oczach i jasnych włosach. Nie dostrzegał w sobie niczego interesującego! Granatowy garniturek z PDT-u był zawsze za mały, rękawy za krótkie, nogawki też. Uczył się bardzo średnio i zdał sobie wkrótce sprawę, że właściwie nie był do niczego specjalnie utalentowany. W zasadzie od tego czasu zazdrościł wszystkiemu wszystkim chłopakom, a potem innym mężczyznom.

Janusz Gaborski spojrział na zegarek. Miał mnóstwo czasu. Na rozdrożu korytarzy galerii skręcił w stronę kawiarenki. Postanowił dokonać przeglądu swego życia, co – jak mu się nagle wydało – możliwe było tylko i wyłącznie przy filiżance mocnej kawy.

Kelnerka położyła przed nim kartę na stoliku, słodko się uśmiechając. Nienawidził pięknych kobiet. Nawet takich młodych, jak ta kelnerka, która mogłaby być jego wnuczką. Już wtedy w liceum stwierdził, że nie ma w sobie niczego, dzięki czemu mógłby taką piękność posiadać i mieć.

Otworzył kartę i w przypiływie desperacji zawołał gestem kelnerkę.

- Proszę wielką kawę. I jeszcze melbę. O tę, tutaj! - Wskazał zdjęcie wielkiej melby z ananasem i truskawkami.

Kelnerka zapisała zamówienie, a on zdumiony własnym tupetem położył na krzesełku obok swoją aktówkę.

Tak, życie przeżył (mógł chyba w tym wieku tak

powiedzieć) porządnie i uczciwie. Kurwa, jak to mało! – wyrwało mu się natychmiast. Zamieszał kawę z jedną kostką cukru, a drugą (co za hipokryzja!) wsadził do kieszeni.

Gdzie był we wspomnieniach? W VII LO. Żył więc nijako i cicho w swoim wiecznie za małym garniturze przez klasę ósmą, dziewiątą i w tej dziewiątej...

Zakochał się na zabój! On był w klasie B, ona w A, dwie klasy niżej. Chabrowe oczy i blond ciężkie, grube włosy, długie, zgrabne nogi. Usta czerwone jak maliny, złożone w uśmiech powalający olbrzymów!

Kiedy zobaczył ją spacerującą w czasie przerwy po korytarzu, z falującymi pod błyszczącym materiałem fartuszka piersiami i z tą swobodą, którą daje powalająca uroda, prawie zasłabł. Jego piegowato-blada karnacja zrobiła się różowa i błyszcząca od potu, a w zasadzie cały świat przestał się liczyć. Być z nią, rozmawiać, wachać jej zapach, lizać, całować, robić wszystko i cokolwiek, ale tylko z nią, teraz i zawsze. Był w stanie znieść dla niej wszystko i walczyć dla niej, nawet ryzykując życie, wlatywać pod chmury i powalać tytanów. Niestety, ponieważ na razie nie było takiej potrzeby, zaróżowił się tylko jeszcze bardziej.

Od tej pory z drzeniem serca chodził na każdą przerwę na korytarz, gdzie ONA spacerowała z obojętną miną, udając, że nie wie, jaka jest piękna w swoich skórzanych, eleganckich bucikach na małym obcasie. Lubił patrzeć, jak w szatni wkładała kurtkę, a potem szła przez Planty do domu. Szalał coraz śmieiej w swoich marzeniach, wyobrażał sobie, jaka

ona jest pod ubraniem, i marzył, że pozwoli mu kiedyś to zobaczyć.

Czas płynął, Janusz kupił sobie buty beatlesówki w prywatnym sklepie za trzysta sześćdziesiąt złotych i w zasadzie to było wszystko, na co było go stać.

Marcelina dalej spacerowała po korytarzu, męski trup słał się gęsto pod jednym jej spojrzeniem, a on, chociaż na wysokich obcasach swoich beatlesówek był pięć centymetrów wyższy, nie zasłużył ani razu na jej uwagę...

Napił się kawy i pochłonał wielki kęs melby. Był pewien, że znowu jest różowy i spocony. Ale nie, tym razem nie pobiegnie do toalety, by sprawdzić to w lustrze. Przecież ona ma teraz prawie tyle samo lat co on. Ale jednak to ONA...

Kiedyś połączono z jakiegoś powodu ich klasy. Jakiś nauczyciel nie przyszedł i mieli mieć wspólnie język angielski. Z panem profesorem Polakowskim, nauczycielem z historią (był w czasie wojny lotnikiem w bitwie o Anglię). A on, Janusz, został posadzony obok NIEJ!

Spojrzała na niego obojętnie, ani źle, ani dobrze, po prostu spojrzała, a jemu to wystarczyło. Patrzył na tablicę, ale nic nie widział, czuł jej zapach i ciepło i chciał, żeby to trwało wiecznie. Wyjęli książki polecane przez profesora - *Shaggy dog english* z całym mnóstwem idiomów, czytali jakąś śmieszna zapewne historyjkę, która kończyła się słowami: *Storm of applause*, czyli „huragan oklasków”, ale on nic nie widział i nie słyszał, bo ona była przy nim.

Wyrwały go z marzeń słowa profesora:

- Mister Gaborski, *please describe the weather that day!*

Janusz wstał. Pogoda? Jaka pogoda? O co mu chodzi? Czego on chce? Aha, pogoda...

- *This day was storm of applause!* - powiedział, a rechoł wszystkich w klasie rozlegał się przez następne dwadzieścia minut.

Od tej pory dostał pseudo „Aplauz” i w ciągu roku nauczył się na nie reagować. Ale to nic. Śmiała się przecież również ona. Rozśmieszył ją.

Od tej pory żył tym wspomnieniem. Aż do tego letniego dnia, kiedy pojechał do Augustowa. Zobaczył ją z jakimś przystojnym, świetnie zbudowanym facetem na plaży. Tulila się do niego bezwstydnie. Nawet go nie poznała. Szedł za nimi nieszczęśliwy od pomostu nad jeziorem do domku kempingowego, w którym zniknęli. Stał i patrzył nieobecny spojrzeniem przed siebie, wyobrażając sobie, co ona tam teraz robi.

Następne lata spędził, myśląc o niej codziennie, ale była coraz bardziej nieosiągalna. Wróciła do szkoły jakaś smutna i bledsza, na szkolne potańcówki nie przychodziła wcale, zignorowała studniówkę i bal maturalny. Potem w ogóle stracił ją z oczu...

Patrzył przez chwilę całkowicie bezmyślnie w pucharek z topniejącą melbą.

Po maturze i on, i większość jego kolegów nie wiedzieli,

co ze sobą zrobić. W końcu bez przekonania poszedł na prawo administracyjne miejscowego uniwersytetu. Na drugim roku poznał dziewczynę, która tak jak i on nie chciała być już sama. Z tego też powodu się pobrali.

Dalej wszystko poszło standardowo. Kupili mieszkanie w bloku, dostał pracę urzędnika w urzędzie miejskim, urodziły się dzieci. Awansował, bo był człowiekiem kompetentnym, pracowitym i uczciwym. O niej wprawdzie myślał codziennie, ale nie sprawiało mu to już bólu. Aż do dzisiaj, kiedy minął go ten samochód. Zaparkował na podziemnym parkingu Galerii Jurowieckiej i wysiadł, kiedy minął go bezszelestnie wielki, bordowy jaguar. Lubił zawsze patrzeć na dobre samochody, ale w jaguarze na tylnej kanapie z białej skóry siedział on. Ten, który wiele lat temu ukradł mu Marcelinę. Zmężniał i trochę posiwiał, ale to był na pewno on. Janusz stał oniemiały, wpatrując się w okno auta. Tamten omiótł go obojętnym spojrzeniem i zaraz Janusz zobaczył tylko tylny zderzak samochodu. Coś jeszcze podświadomie przykuło jego uwagę w związku z tym autem, ale lawina wspomnień z młodości przetoczyła się znowu przez jego mózg. Wjechał windą do galerii i kilka razy obszedł ją, rozmyślając, aż w końcu usiadł tu, przy tym stoliku.

Tak, niestety, życie upłynęło mu cicho, bezpiecznie i spokojnie, a jego wielka miłość pozostała na zawsze tylko jego tajemnicą. Co ona teraz robi? Nieważne, mimo upływu czasu prawdopodobnie teraz też by go wcale nie chciała.

Westchnął, zapłacił i ruszył do windy.

ROZDZIAŁ XIII

Krzysztof obudził się i poczuł gorąco. Statek nie kiwał się i nie było słychać silnika. Napił się wody i sprawdził godzinę. Zegarek wskazywał dziesiątą. Policzył, czy to dziesiąta rano, czy wieczorem, wyszedł wieczór. Czyli spał ponad dwanaście godzin.

Poczuł głód. Zagarnął z kupki kilka batonów. Żuł te batony i myślał. W końcu wstał i wyslizgnął się z kontenera.

Wspiął się po drabince do włazu prowadzącego na pokład. Był znowu zamknięty tym płaskownikiem z przetyczką. Wypchnął go na zewnątrz i ostrożnie uchylił klapę. Statek był rzęsiście oświetlony.

Wysunął się do pasa z włazu i zobaczył opierającego się o reling człowieka. Był w niebieskim kombinezonie z napisem na plecach „Walvis Bay Star”. Na głowie miał pomarańczowy hełm, a na ramieniu ukaefkę na długim pasku.

Krzysztof powędrował za jego wzrokiem. W odległości może kilometra biła łuna świateł i było słychać pracę maszyn i dźwigów. No tak – pomyślał – port. Ciekawe jaki. Nic mu nie przychodziło do głowy, choć próbował sobie przypomnieć mapę wybrzeża Afryki Zachodniej.

Wrócił do swojego kontenera i zaczął planować, jak

wyjdzie w tym porcie, ale prawie nic nie wiedział ani o tym miejscu, ani o lokalnych przepisach. Spać już nie mógł, więc tylko pogimnastykował się trochę, zjadł resztę batonów i wypił z litr wody. Położył się i znów zaczął planować powrót do domu (do domu Doroty oczywiście), zakładając, że szczęśliwie wydobędzie się z portu.

Samoloty wykluczył ze względu na ładunek szefa, więc pozostawały jakieś promy czy coś w tym rodzaju. Na szczęście miał kartę bankową. Paszport? Powinni mieć w tym kraju jakiś konsulat czy ambasadę od tych spraw. Na razie nie ma się co przejmować. Natłok wydarzeń ostatnich dni nie pozwalał zbyt długo się zastanawiać.

O szóstej rano statek się znowu rozedrgał, z pokładu dobiegały jakieś krzyki. Po dwóch godzinach wszystko ucichło. Krzysztof domyślał się, że statek zacumował. Po dziewiątej z pokładu dobiegł tupot i głosy ludzi. Jakieś huki pozwalały się domyślać, że rozpoczęto przeładunek.

Krzysztof wydostał się z kontenera i po chwili był już na pokładzie. Wychylił się ostrożnie zza kontenerów. W wąskim przejściu między zrębnicą ładowni a relingiem pracowali ludzie w pomarańczowych kaskach i kamizelkach odblaskowych.

Krzysztof chwycił jakiś długi, ciężki pręt i udawał, że coś tam nim majstruje przy narożniku kontenera. Przeszedł na burtę od lądu. Wychylił się przez reling. W odległości około stu pięćdziesięciu metrów od miejsca, w którym stał, na ląd podany był długi trap. Na lądzie była jeszcze jedna grupa

robotników, a na pokładzie przy trapie stał jakiś gość w mundurze khaki z pumpgunem. Miał jakąś listę i chyba sprawdzał wchodzących robotników.

Krzysztof postanowił się przedostać na ląd tym trapem, jeśli strażnik się odwróci. Wrócił na tę burtę od strony wody i zbliżył się ze swoim dwumetrowym prętem do grupki robotników. Gdy był już parę metrów od nich, usłyszał, że rozmawiali po francusku. Z angielskiego był słaby, a po francusku znał tylko dwa wyrazy.

Wlaź między ładownie i aż podskoczył z zadowolenia. Tuż przy otwartym włazie do ładowni wisiały dwa pomarańczowe kaski i sygnałowa pomarańczowa kamizelka! Był w tym miejscu sam, więc zaraz włożył hełm i kamizelkę. Chwycił swój drąg i już całkiem swobodnie ruszył w stronę rufy. Minął bezczelnie członka załogi w niebieskim hełmie i kombinezonie z napisem „Walvis Bay Star”. Odłożył pręt na pokład i doszedł do samej rufy.

Pięć grubych jak męskie ramię lin było zamocowanych na potężnych polerach. Dwóch ludzi w pomarańczowych hełmach stało przy burcie i ciągnęło coś w górę z wysiłkiem. W końcu na pokład wyciągnęli na linkach końcówkę grubego, brezentowego węża. Założyli wężowi stalową metrową końcówkę i wetknęli ją w jakiś wlew na pokładzie. Krzyknęli coś po francusku na ląd i po chwili wąż nabiegł wodą, zesztyniał i się wyprostował. Robotnicy przymocowali pysk węża cienką linką do wlewu i usiedli na polerach, zapalając papierosy tuż pod szyldem *NO*

SMOKING.

Krzysztof obserwował ich zza rogu nadbudówki. Kiedy skończyli palić, wzięli jakąś plastikową siatkę i zniknęli. Wyskoczył zza rogu i podbiegł do węża. Rufa była najwyżej trzy metry nad keją, a cienki odbijacz był przyciśnięty do kei burtą statku, oddaloną najwyżej o trzydzieści centymetrów od kei. Wyrżał i spojrzał w stronę trapu. Był pusty - wszyscy dokerzy przeszli już chyba na burtę.

Na kei stał zardzewiały kontener z wyciętą ścianą boczną, używany przez dokerów jako osłonięta przed słońcem przebieralnia. Na krawędzi kei leżała jakaś paleta. Krzysztof skoczył na nią i spadł od razu na „cztery łapy”. Podniósł się błyskawicznie i podbiegł do kontenera z wyciętą ścianą.

Na ławce w kontenerze drzemało dwóch czarnoskórych robotników w takich samych kamizelkach i hełmach jak jego. Nie zareagowali na jego *pardon*. Obszedł kontener i spojrzał w stronę lądu.

Keja szła łagodnym łukiem, a Walvis Bay Star był zacumowany na jej końcu. Przed nim stały jeszcze dwa inne statki. Duży statek miał rozpięte ogromne płachty między pokładem a keją. Pięć okrętowych dźwigów wyciągało z ładowni ogromne hiwy worków - stawiało je na kei, a ustawieni w kolejkę dokerzy brali je na plecy i wrzucali na ciężarówki. Ciężarówki były zwyczajne - MAN, volvo czy renault, ale wszystkie ozdobione wymyślnymi malunkami i dodatkowymi światełkami. Przed tym wielkim statkiem stał jeszcze jakiś mały zardzewiały stateczek, na którym nic się

nie działało.

Ruszył wzdłuż kei. Minął, nie zwracając niczyjej uwagi, wielki statek, potem mały i znalazł się na kei sam. Mijały go tylko w obie strony potężne ciężarówki załadowane kontenerami lub workami. Po kilkunastu minutach zobaczył jakby zespół bram, przed którymi ciężarówki zatrzymywały się, widocznie do kontroli. W odległości może dwustu metrów stał murowany, biały domek o płaskim dachu, tworzącym ze wszystkich stron szeroki na metr okap.

Drzwi i okna w domku były otwarte na oścież. Kiedy zbliżył się do budynku, nie mógł uwierzyć własnym uszom. Z domku dobiegały słowa starej piosenki Czerwonych Gitar *Ciągle pada*. Co jest? Może przypadek? Ale piosenka się skończyła i zaczęła następna, pod tytułem *Wschód słońca w stadninie koni*, tego samego bigbitowego zespołu sprzed lat.

Wszedł w cień okapu i stanął przy drzwiach. Zajrzał do środka. Przy odrapanym, czerwonym biurku siedział ciemnoskóry oficer z czterema paskami na pagonach białej koszuli. Jego nogi na biurku, w czarnych zakurzonych pantoflach, podrygiwały w rytm muzyki.

- Dzień dobry - zaryzykował głośno, żeby przekrzyczeć muzykę.

- Polak? - zdumienie na twarzy oficera było pomieszane z radością.

- Polak. Krzysztof. Skąd znasz tak dobrze polski?

Oficer wyciągnął rękę:

- Idris. Oficer ISPS dla portu Nokczot.

- Nokczot? - zdumiał się Krzysztof, bo nigdy takiej nazwy nie słyszał.

- Nokczot. Stolica Mauretanii. A język polski znam, bo pięć lat mieszkałem w Polsce. Uczyłem się w Wyższej Szkole Morskiej. Skończyłem Wydział Administracji. Ale jakim statkiem przyłynąłeś? Nie mam cię na listach załóg.

- To długa historia. Potrzebuję twojej pomocy. Żebyś zawiózł mnie do polskiej ambasady, jeśli taka tu jest.

- Nie powinienem tego robić, bo to nie po kolei załatwione, ale jeśli do ambasady, to OK. Wypełnimy tylko odpowiednie papiery.

Przez następne piętnaście minut Idris przepytывał Krzysztofa i zapisywał coś w formularzach po francusku. Potem wręczył mu przepustkę i zaprosił do auta. Pierwsze, na co Krzysztof zwrócił uwagę, to drogowskaz. Otóż to Nokczot, pisane jako Nouakchott, było oddalone o prawie trzydzieści kilometrów.

Miasto było zabudowane niskimi domami, sklepy miały kraty w oknach, ale zauważył neon „swojego” banku.

- Idris, skręć do tego banku - poprosił.

Wyplacił ekwiwalent pięciuset dolarów amerykańskich, co było sumą chyba w tym banku niezwykłą, i otrzymał plik lokalnych banknotów o nazwie ouguiya.

Wkrótce zatrzymali się przed białą willą ze stalowym ogrodzeniem. Idris wysiadł i porozmawiał po francusku z uzbrojonym strażnikiem. Po chwili Krzysztof wszedł do klimatyzowanego hallu konsulatu. Pani konsul okazała się miłą starszą panią. Krzysztof powiedział jej mniej więcej wszystko, omijając tylko, po co przyjechał do Afryki.

- Dobrze - powiedziała urzędniczka - to potrwa dwa, trzy dni. Czy ma pan pieniądze?

- Na trzy dni mam. Może pani polecić jakiś hotel?

- Tak - zapisała adres i nazwę hotelu na małej karteczce. - I proszę przyjść za dwa dni. Niech pan zrobi gdzieś sobie zdjęcie do paszportu. Ma pan telefon?

- Tak. - Krzysztof podał numer.

- W takim razie to wszystko. Aha, może pan podać PESEL?

Po chwili Krzysiek siedział już bardzo z siebie zadowolony w maździe Idrisa. Podał mu karteczkę z nazwą hotelu. W chłodnym pokoju zamienili jeszcze parę słów i umówili się na jutro.

ROZDZIAŁ XIV

Lipka zszedł do kuchni zrobić sobie śniadanie. Jedli oddzielnie, bo on wstawał dość wcześnie. W zlewie stała filiżanka po kawie, co go nieco zdziwiło, bo Marcelina lubiła poleżeć do dziesiątej. Wziął z lodówki jakąś sałatkę. Gdy wstawił wodę na kawę, stanęła przed nim żona całkowicie ubrana i z makijażem.

- Lipka, wyjeżdżam na parę dni. Muszę coś załatwić z koleżanką w Białymstoku.

- Aż w Białymstoku? Masz tam jeszcze kogoś? - Jej rodzice od dawna nie żyli i Lipka trochę się zdziwił.- A z jaką koleżanką?

- Znasz ją. Z Haliną. Ma kłopoty z mężem i płakała w telefon. Nie mogę być świnia, Lipka - mówiła do niego od zawsze po nazwisku i zawsze wydawało się jej to bardzo śmieszne.

- No, to jedź, kochanie. Tylko ostrożnie. I weź telefon. I ładowarkę! - Popatrzył na nią z prawdziwą przyjemnością. Była szczupła i piękna, wyglądała najwyżej na trzydzieści parę lat.

Torebkę i neseser rzuciła na tylne siedzenie swojego bordowego aston martina. Żakiet złożyła na neseser i wciągnęła eleganckie długie rękawiczki. Na głowie

zawiązała jedwabną chustę i włożyła ciemne okulary ze znaczkiem CD. Przejrzała się jeszcze w lusterku i nacisnęła pilota automatycznych drzwi garażu. Dwaj ochroniarze z psami pomachali jej na szczęście i wkrótce mknęła po suchej szosie na wschód.

Przyjemnie było tak szybko jechać po dobrej drodze, słuchając klasycznej muzyki baroku i mijając piękne lasy i schludne miasteczka. Inne samochody zjeżdżały z szacunkiem na prawo, kiedy je wyprzedzała, a ona wtedy łaskawie uśmiechała się do kierowców.

W niecałe półtorej godziny była na miejscu. Automatycznie skręciła pod rodzinny dom, ale zdała sobie sprawę, że nikogo tam już nie ma, a dom dawno sprzedany. Ale przejechała obok niego, stwierdzając, że wygląda jak zwykle, choć teraz kryje życie i tajemnice całkiem innych ludzi.

Wjechała do centrum i zaparkowała na ulicy Suraskiej, kiedyś bardzo ruchliwej, teraz zamkniętej i najeżonej parkometrami. Przeszła ukwiecony rynek i ruszyła w stronę szeregu kolorowych parasoli kryjących „ogródki” restauracji, kafeterii, bodeg i pubów. Stukała swoimi eleganckimi szpilekami, kołysała biodrami i w ogóle wyglądała zjawiskowo. Uśmiechała się zadowolona, widząc zachwycone spojrzenia mężczyzn.

Weszła do któregoś ogródka, usiadła i spojrzała z przyjemnością wokół. Wyjęła paczkę zielonych dunhilli i zaraz młody kelner postawił przed nią firmową popielniczkę

i podsunął ogień. Uśmiechnęła się zaskoczona.

- Campari z sokiem pomarańczowym na razie proszę.

Wyjęła telefon i poszukała numeru Haliny.

- Halinko, czy możemy się zaraz zobaczyć?

...

- Dobrze, siedzę w ogródku knajpki. - Poszukała nazwy i podała ją Halinie. - Fajnie. Stęskniłam się za tobą. Chciałam pogadać.

Zamówiła coś do jedzenia, ale popijając tylko campari. Siedziała i patrzyła na domy i ludzi, myśląc o dawnych czasach. Po kilkunastu minutach do stolika podeszła wysoka, szczupła brunetka o ciemnych, ciężkich włosach, w kostiumie w brązową pepitę. Makijaż miała delikatny, a na głowie elegancki kapelusz z woalką.

Uściskały się serdecznie.

- Ile to się nie widziałyśmy? Dwa, trzy lata? Nic się nie zmieniło? Bo wyglądasz powalająco! - zachwycała się Marcelina.

- Nie, nic. Dalej jestem lekarką pierwszego kontaktu i chyba już tak zostanie. Ale lubię to, dzieciaki już poszły z domu, nie trzeba tyle pieniędzy. A ty właściwie dlaczego tu przyjechałaś?

- Sama nie wiem. Coś mnie na sentymenty wzięło. Wiesz, stare wspomnienia. Ty jedna wiesz.

- Co? Tamto?

- Wiesz, chyba to była jedyna miłość, jaką przeżyłam. A teraz... kiedy już chyba nic więcej mnie nie czeka...

- A co cię ma jeszcze czekać? Żle ci?

- Niby nie, ale nie jestem taka pewna.

- Człowiek nigdy nie jest pewny na sto procent. Ale że ci się tamto przypomniało?

- Kiedyś ci powiem dlaczego. Na razie muszę przerobić to sama. Aha, jakby Lipka zadzwonił, to jestem u ciebie, ale akurat na zakupach, czy coś takiego. Na pewno nie zadzwoni, ale jakby.

Halina przytuliła ją, przechylając się nad stolikiem.

- Kochanie, jak masz w ogóle jakąś przyjaciółkę, to chyba tylko mnie.

- Tak, tylko ciebie, Halinko.

Siedziały jeszcze pół godziny, zjadły po sałatce i się pożegnały.

Marcelina ruszyła ostro na północ w stronę Augustowa. Nic tu nie było podobne do tamtych czasów. Może tylko las. Podwójna ekspresowa droga niosła ją bezszelestnie w tamtą stronę. Ruch był niewielki i parę razy złapała się na tym, że przekracza sto czterdzieści na godzinę. W połowie drogi nagle wyprzedził ją jakiś ciemnoczerwony jaguar. Zauważyła tylko, że zamiast numeru miał na tablicy rejestracyjnej chyba jakąś nazwę.

Zrobiło się już późno i poczuła zmęczenie. Minęła miasto

i skręciła w stronę najlepszego w mieście hotelu nad Neckiem. Zaparkowała na hotelowym parkingu i wybrała w recepcji pokój z widokiem na jezioro. Potem wzięła prysznic i położyła się.

Obudziła się, kiedy było już ciemno. Czuła smutek. Otworzyła drzwi na balkon. Wschodził pełny księżyc. Włożyła kurtkę. Jeziora nie było widać zza drzew. Wróciła do pokoju i siadła bezradnie na fotelu, ale zaraz wstała. Zatrzasnęła drzwi i zbiegła po schodach.

Niedawno chyba padał deszcz, bo sosny wokół hotelu były mokre. Było cicho, ciemno i tajemniczo, pachniała zieleń. Ruszyła w stronę jeziora.

Szła wzdłuż brzegu. Wszystko tu się zmieniło. Nie było już pomostu, z którego on skakał, popisując się przed nią, nie było domku kempingowego, nie było tysiąca innych szczegółów z tamtego okresu.

Patrzyła na jezioro i łzy napłynęły jej do oczu. Chmury nagle odsłoniły księżyc i jezioro zaśnięło milionem błyszczących księżyców. Płakała nad sobą i swoją bezradnością wobec czasu, który upłynął. Szła, szlochając i nie wstydząc się tego. Była tak strasznie samotna.

Wróciła do hotelu po dwóch godzinach. Zmyła rozmazany makijaż i położyła się do łóżka.

Rano pojechała do miasta. Obeszła rynek wokół, usiadła w jakiejś kawiarence na kawę. Wczorajszy nastrój nie

minął.

Weszła do kościoła obok rynku. Była niewierząca, rodzice byli ateistami, ale pamiętała słowa pacierza, bo gdy miała pięć lat, nauczyła ją go stara niania. Uklękła przed ołtarzem i zaczęła się modlić. Ale w głębi duszy myślała o czymś zupełnie innym, czego wstydziła się przed samą sobą. I prosiła o to Boga, żeby to się spełniło, choć była pewna, że Bóg nie przystanie na takie bezceństwa. Przeżegnała się, wstała i ruszyła do wyjścia.

Na ryneczku było teraz słońce. Usiadła na jakiejś ławce obok pomnika. Nabrała trochę otuchy. Ludzie spacerowali z dziećmi po parku i uśmiechali się.

Wsiadła w końcu do auta i wróciła do hotelu. Parking był przepełniony - zbliżał się weekend. Przegryzła coś w restauracji, wróciła na górę i spakowała się.

Kiedy wróciła na parking, obok jej samochodu stał ciemnoczerwony jaguar. Spojrzała zaskoczona na auto i zwróciła uwagę na tablicę rejestracyjną. Zamiast numeru rejestracyjnego widniał napis: TYGRYS.

Przerażona, wsiadła pośpiesznie do swojego auta i wyrwała z parkingu. Łamała ograniczenia prędkości, raz przejechała na czerwonym świetle. Migają przydrożne słupy i drzewa, inne auta zjeżdżały na bok, widząc w lusterkach szalony samochód, a ona pędziła, ściskając kierownicę. Twarz miała skupioną i nieruchomą, oczy wbite w drogę przed sobą.

Mijała wsie i miasteczka, zwolniła dopiero, gdy była prawie na miejscu. Zostawiła auto przed swoim domem, z kluczykami w stacyjce, wbiegła do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko.

ROZDZIAŁ XV

Teraz już Krzysztof odprężył się jak nigdy dotąd. Leżał w hotelu z klimatyzacją, nie musiał się chować ani nigdzie uciekać. Przede wszystkim zdjął pas i położył go na stole. Okazało się, że pod pasem zrobiły mu się otarcia. Wyjął z pasa telefon i sprawdził, czy nie jest uszkodzony. Był w porządku, ale miał kompletnie rozładowaną baterię. Ogolił się i wykąpał, potem założył pas, ale znacznie luźniej, i położył się do łóżka. Zasnął natychmiast.

Było już ciemno, kiedy się obudził. Ubrał się i zszedł na dół. Okazało się, że miasto o tej porze tętniło życiem. Mijał jednopiętrowe budynki, sklepy o zakratowanych oknach, oświetlone mocnymi żarówkami. Na ulicy unosił się zapach jakichś egzotycznych przypraw.

Wszedł do sklepiku z elektroniką i położył na blacie telefon. Po chwili sprzedawca dopasował do niego ładowarkę. W następnym sklepie kupił jeszcze dwa T-shirty Lee, tej samej marki dżinsy i sportowe buty marki Puma. Potem w McDonalddie zjadł dwa hamburgery i wypił dwie kawy. Właściwie nie miał już nic więcej do załatwienia, więc wrócił do hotelu i podłączył telefon do kontaktu. Włączył telewizor, ale program był nieciekawym i do tego w lokalnym języku. Niebawem zasnął.

Kiedy po godzinie się obudził, wystukał zaraz numer Doroty.

- O Boże. Nareszcie! Tak długo się nie odzywałeś.

- Nie mogłem, miałem trochę problemów.

- Gdzie jesteś?

- W Mauretanii.

- Gdzie?!

- To w Afryce Północnej. Dorotko, doładuj mi komputerem telefon, a jak doładujesz, zadzwoń.

- Dobrze, kochanie. No to pa.

Zadzwoiła po pięciu minutach i musiał jej mniej więcej wszystko opowiedzieć. Oczywiście oprócz rzeczy najważniejszej, czyli co właściwie robi akurat w Afryce. Zasnął zadowolony z siebie, że ktoś na niego gdzieś w końcu czeka.

Następny dzień spędził na studiowaniu rozkładów połączeń z Europą. Oczywiście z wiadomych względów miał na uwadze tylko te promowe. Wybrał w końcu połączenie Nouakchott-Casablanka-Ceuta-Algeciras. To Algeciras było już w Hiszpanii, więc w Europie, gdzie mógł się czuć bezpiecznie. Najdłuższy odcinek to był Nouakchott-Casablanka, dwie i pół doby rejsu.

W znanym już sobie banku wypłacił więcej pieniędzy i kupił bilet z kabiną drugiej klasy. Zjadł w hotelu całkiem smaczny obiad, a kiedy wrócił do pokoju, zadzwonił telefon.

- No, Garus, jak poszło?
- Były kłopoty, ale załatwione.
- Kiedy będziesz w Gdyni?
- Myślę, że za kilka dni. Na razie jestem jeszcze w Afryce.
- Dobrze, zadzwonię za tydzień. Dziękuję wam. *Out*.

Telefon zamilkł.

Na drugi dzień zadzwoniono z konsulatu, że paszport jest gotów. Wziął taksówkę i po dwudziestu minutach szedł spokojnie ulicą, czując w kieszeni koszuli nowiutki paszport.

Leżał na wielkim łóżu w hotelu i myślał. Skończył pięć minut temu rozmowę z Dorotą i chciał koniecznie powrócić do marzeń o niej, o spacerze po bulwarze, ale przychodziło mu to z trudem. Czuł gorąco, chociaż termometr na *air condition* wskazywał dziewiętnaście stopni. Przewrócił się znowu na brzuch i nakrył głowę poduszką.

...czuł zapach rozkopanej ziemi, a kiedy wychylał się z okopu, widział tylko rozległy teren pokryty zrudziałą, zimową trawą, nad którym unosiła się mgła przechodząca w wielodniową, parszywą mżawkę.

- Pluton pierwszy do przodu skokami! - Ryk sierżanta Tygrowicza poderwał go automatycznie. Jednym skokiem wydostał się z okopu i biegł schylony z kałachem gotowym do strzału. Za plecami słyszał człapiące w błocie kroki żołnierzy swojego plutonu. Podniósł głowę i spod krawędzi hełmu

dostrzegł kępkę niskich, łysych krzaczków. Były dwieście metrów przed nimi. Gdzieś za nimi miał być drugi okop i tym okopem mieli biec na zachód, aż dotrą do tarcz strzelniczych. Tam mają oddać po pięć strzałów i odskoczyć na „z góry zaplanowane pozycje”, czyli wrócić do starego okopu.

Biegli, padając co kilkadziesiąt metrów, kryjąc się przed ogniem nieprzyjaciela. Za nim, jak zwykle w pierwszej parze, byli „Ryży” i „Generał”. Nie musiał się oglądać, żeby być tego pewnym. Biegł i nie myślał o ćwiczeniach, tylko o ciężarówce star 66, która ich kompanię tu przywiozła, wlokąc za sobą połowę kuchni. Był głodny i zmęczony.

Wskoczył pierwszy do drugiego okopu. Policzył swój pluton. Brakowało jeszcze dwóch. Wystawił głowę. Oczywiście „Baba” i „Japon”. „Baba” miał problemy z bieganiem i właściwie ta jednostka nie była dla niego. Spojrzał na zegarek. Powinni dobiec w ciągu minuty. Przeszedł na czoło plutonu i kiedy usłyszał dwa skoki w dół do okopu, podniósł rękę i schylony ruszył na zachód.

Za zakrętem okopu zobaczyli kilkanaście tarcz w kształcie sylwetek „nieprzyjaciela” z wyraźnymi, dużymi numerami. Każdy miał strzelać do swojej tarczy.

- Mówię ci, siedział, dupek jeden. Za jakiś przemyt z Rosji czy do Rosji. A teraz się odgrywa. Kulisa mi kazał robić!

Poznał głos „Japona”. Wiedział, o kim mówił „Japon”. O sierżancie Tygrowiczu. Kulis polegał na tym, że karany z plecakiem, bronią i w masce musiał biegać wokół maszerującego przełożonego.

Ustawili się naprzeciw swoich tarcz.

- Ogniem pojedynczym do celu! - podał komendę.

Strzelił sam, ale zauważył, że jego kula przebiła tarczę sąsiada! Co jest? Wycelował drugi raz i pociągnął spust. Żołnierz obok wznosił ręce i padł jak długi. Z dziury w czole płynęła mu krew...

Obudził się zlany potem. Trząśił się z zimna. Zapalił światło i postanowił więcej nie zasnąć, choć była dopiero czwarta rano. Prom odchodził o dziewiątej. Chyba jestem chory - pomyślał. Ubrał się i zszedł do recepcji.

- *Do you have some aspirin? And thermometer, please.*

Starsza pani za ladą patrzyła na niego z obawą.

- *OK, sir. You get it in few minute. Please, go to bed.* - Pokazała palcem haczyk bez klucza z wypisanym numerem jego pokoju.

- *That's your room, sir?*

- *Yes, please.*

Wrócił do łóżka i po kilkunastu minutach podano mu tacę z pudełkiem aspiryny i termometrem. Zaparzył sobie herbaty i wsadził termometr pod pachę. Miał trzydzieści dziewięć stopni. Wziął trzy aspiryny i do rana wypił cztery kubki herbaty, patrząc bez sensu na obrazy w telewizorze.

Taksówka podwiozła go pod terminal promy i po chwili leżał już w swojej kabinie, choć wcale nie było mu ani cieplej, ani przyjemniej. Postanowił jednak nic nikomu nie mówić

z obawy, że wezmą go za nosiciela jakiejś choroby i zarządzą kwarantannę.

Te dwie noce to był koszmar. Steward, zaniepokojony, że pasażer nie schodzi na posiłki, zdecydował, że będzie mu nosił jedzenie do kabiny. Krzysztof zgodził się na ten *room service* i dał mu od razu dwadzieścia dolarów bakszyszu. Temperatura nie spadała, steward odbierał pełne talerze i w końcu prom zacumował w Maroku.

Przeszedł odprawę, wbili mu w paszport marokańską wizę i znalazł jakiś głęboki fotel, w którym spędził następne godziny.

Zasypiał i budził się, męczyły go jakieś koszmary. Z ogromnym wysiłkiem podszedł do baru i wziął dwulitrową butelkę wody sodowej. Kiedy prom zacumował w Algeciras, był ranek.

Krzysztof wsiadł w pierwszą napotkaną taksówkę i powiedział:

- To some doctor, please.

Zapłacił taksjarszowi w dolarach, bo nie miał euro, i wdrapał się na pierwsze piętro.

Doktor miał z siedemdziesiąt lat, ale naprzeciw na ścianie wisiał jego wielki portret z czasów młodości. Zbadał go i kazał się położyć, a pielęgniarka pobrała mu krew. Zasnął, a kiedy się obudził, doktor stał nad nim z jakąś karteczką.

- Malaria, señor. Malaria. You have to go to hospital.

- *No, doctor, no hospital. Please give some medicine and I must go.*

- *Where are you from?*

- *Poland.*

- *OK. Have you plane today?*

- *Yes.*

Doktor podreptał do biurka i usiadł. Wypisał recepty. Krzysztof zapłacił tym razem kartą i po chwili jechał taksówką do apteki. W aptece wykupił leki i poprosił z trzystu euro *cash back*.

- *Drive me to some good, but not very expensive hotel!*

Miasto nie było duże, więc po kilku minutach stali przed marmurowym wejściem do hotelu o dumnej nazwie Esmeralda. Zamówił pokój i wjechał na górę. Połknął pierwszą porcję tabletek i położył się do łóżka. Zanim zasnął, wystukał jeszcze numer Doroty.

- Kochanie. Jestem chory na malarię. Leżę w hotelu Esmeralda w Algeciras w Hiszpanii. Jak się lepiej poczuję, zadzwonię. Nie martw się. Będzie OK. Tylko nie wiem kiedy.

Budził się i brał prysznic, by zmyć pot, dwa razy. Na drugi dzień wziął następną porcję tabletek, ubrał się i zmusił do zejścia na dół, gdzie zamówił wielkiego hamburgera. Z hamburgerem w dłoni wrócił do pokoju i na siłę zjadł połowę. Zmierzył temperaturę, miał trzydzieści dziewięć i pół

stopnia.

Czuł, że umiera. Nie miał nawet siły zadzwonić do Doroty. Zapakował pas w gazety i napisał na serwetce: „Dorotko, umieram. Jesteś jedyną, która może liczyć na kontakt z szefem. Przekaż mu ten pakunek i żegnaj. Krzyś”. Napisał na wierzchu imię i nazwisko Doroty, adres, a pod tym POLAND-POLONIA. Położył paczkę na stole i dowlókł się do łóżka.

...nad stołem w hotelowym pokoju stała Dorota i płakała. On patrzył na nią, ale nie mógł nic zrobić.

- Dorotko - zawołał, jak mógł najgłośniejszym głosem - żegnaj, Dorotko.

Dorota podeszła do niego i nagle poczuł, że ma chłodne palce, poznawał zapach jej perfum, czuł, że go głaszczące po policzku.

- Dorotko - wychrypiał - to nie sen?

- Nie sen. Przyleciałam tutaj samolotem przez Malagę i jestem. Czułam, że coś nie tak. Bałam się, że będzie więcej kłopotów. Ale trafiłam i jestem.

Uszczypnął się w udo i poczuł ból, więc to się działo naprawdę. Usiadł na krawędzi łóżka.

- No, to chyba jednak wyzdrowieję.

Dorota zajęła się nim tak, jak powinna każda troskliwa matka Polka. Znosiła mu jedzenie, przyprawiała po swojemu, wyprowadzała na słońce na taras. Po trzech dniach

temperatura spadła do trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza, a na drugi dzień wstał i poszli razem na obiad do hotelowej restauracji.

Na trzeci dzień pojechali autobusem do Gibraltaru. Spacerowali po tamtejszym deptaku, zjedli obiad z czerwonym winem.

Po powrocie zamówili bilety autobusowe do Gdańska na następny dzień.

ROZDZIAŁ XVI

Przez te dwie i pół doby podróży do domu podziwiali Hiszpanię, Pireneje, Francję i Niemcy.

Krzysztof myślał intensywnie o swojej nowej sytuacji i starał się zrozumieć, co właściwie się dzieje. Czuł, że odpowiedź na najważniejsze pytanie, kim jest szef, jest blisko i umyka mu za każdym razem, kiedy jest o krok od rozwiązania zagadki.

Zatrzymywali się na postój w motelach i nawet próbował zagadnąć Dorotę w nadziei, że rozmowa pozwoli mu się przybliżyć do prawdy, ale ona była zachwycona światem i tym, że tu w ogóle jest. Nietrudno było się domyślić, czym handluje boss. Praca była niebezpieczna, ale płacił uczciwie i dużo, więc Krzysztof był zadowolony.

Jak nagle zmieniło się jego życie. Teraz przypominał sobie, że egzystując jako bezdomny menel, czuł, że to się musi zmienić, że los nie może być tak okrutny. No i stało się.

Spojrzał na siedzącą obok na fotelu Dorotę. Drzemała i była po prostu piękna. Nie śmiał jej teraz pocałować, ale patrzył z zachwytem na jej zaróżowioną twarz. Uśmiechnął się do siebie, położył głowę wygodnie na podgłówku i zamknął oczy. Przebiegał myślami dawne czasy, cofał się we wspomnieniach: menelstwo, altanka Weroniki, krótkie

i nieudane małżeństwo, będące pasmem awantur i nieszczęść. Wojsko. Pierwsze dni, bycie „kotem”, potem przysięga, ćwiczenia w walce wręcz i strzelaniu, pierwszy skok spadochronowy.

Jak to było?

Ćwiczyli składanie spadochronu przez miesiąc. Sierżant, wielki chłop w bluzie z podwiniętymi rękawami, pokazywał im, jak należy składać każdą fałdkę, jak przeciągnąć przez oczka drut zwalniaka, jak zaczepiać za haczyki gumki otwierające plecak. Ten sierżant imponował im wszystkim. Sprawny i twardy jak skała.

Głowę miał podgoloną jak wszyscy, ale kiedy był bez beretu, grzywa spadała mu na oczy. Widać było po nim bezczelną, kozacką odwagę. Strzelał też bardzo dobrze, ale Krzysztof lepiej. Jakoś zaczęli ze sobą konkurować, chociaż oczywiście Krzysztof nie zapominał, że jest tylko kapralem.

W czasie ćwiczeń w walce wręcz sierżant od razu wybrał go na przeciwnika. Pluton pojął, co się dzieje, i kibicował walce.

Krzysztof walczył pierwszy raz i po dwóch minutach leżał na łopatkach. W drugiej walce też klepał matę, ale dopiero po dziesięciu minutach. Potem dostali do rąk tępe noże. Obaj byli już rozgrzani. Krzysztof był niższy i lżejszy od sierżanta, ale jakiś dziwny amok pozwalał mu zwinnie unikać ciosów noża. Sierżant był pewny zwycięstwa. Walka trwała już kilka minut i obaj byli spoceni. Sierżant błyskawicznym ciosem noża w brzuch przeciwnika chciał walkę zakończyć. Jego

wyprostowana ręka z nożem przeszła jednak tylko powietrze, za to poczuł na niej silny chwyt. Krzysztof obrócił go. Upadli. Sierżant unieruchomiony leżał na macie, z nożem przyłożonym do gardła.

Od tego czasu kapral stał się sławny w całej jednostce. Co ciekawe, sierżant nie mścił się na nim, ale akceptował uczciwie jego talent i nawet go faworyzował. Często wyznaczał Krzysztofa na swojego zastępcę, a walki wręcz od tej pory prowadził kapral zamiast sierżanta.

Raz nawet spędzili razem przepustkę w Krakowie. Dojechali do miasta tramwajem, a jak szli przez rynek w mundurach i bordowych beretach, wyglądali jak para greckich herosów, zdolnych pokonać cały świat. Żołdy jednak niestety mieli zwykłe, więc weszli do restauracji Harnaś i zamówili coś do jedzenia i trochę alkoholu.

Rozgadali się, jak to przy piwie, o dziewczynach i innych męskich sprawach. Atmosfera była przyjemna i czuli się odprężeni.

- A co sierżant ma za tatuaż? - Krzysztof nie mógł się oduczyć szacunku do swojego szefa, choć właściwie byli na ty.

- Jaki tatuaż? Ta kropka? - Sierżant wskazał na dużą, niebieską kropkę wytatuowaną między kciukiem a palcem wskazującym. - To stara historia. Kropka bandycka. Głupota z dzieciństwa. Urodziłem się i wychowałem w podłej dzielnicy. Nazywała się Piaski. Wszyscy moi koledzy źle skończyli. Poszli na wiele lat siedzieć, a zdarzały się i kaeski.

- Co się zdarzało?

- Kaeski. K.S., czyli kara śmierci. Tam żyłem, tam się wychowałem i dzięki Bogu udało mi się stamtąd wyrwać i wyjść na ludzi. Nawet zrobiłem maturę i rok studiów. Po wojsku może uda mi się skończyć. Budownictwo lądowe na politechnice. Kto wie? - rozmarzył się. - Tak, kapralu, nie tylko strzelać i skakać z samolotu potrafię.

- No, no, to sierżant naukowiec. Ja tylko prawo jazdy zrobiłem w wojsku, ale maturę też mam, a jakże.

- To zapisz się na studia, chyba nie jesteś głupszy niż inni
- przyjacielsko doradził sierżant.

Do koszar wrócili prawie jako przyjaciele. A potem...
Poszło, jak poszło.

Krzysztof znowu przeskoczył w myślach swoje małżeństwo, menelstwo i tą drogą doszedł znowu do autobusu i Doroty śpiącej obok w fotelu.

Kurde, kim jest szef? Jak to możliwe, że wszystko o nim wie, a sam jest kompletnie „niewidzialny”? Czym handluje, łatwo się domyślić, a że było im na razie razem po drodze, Krzysztof dziękował Opatrzności, że się na niego natknął. Ale czego jeszcze zażąda? Czy to będzie wykonalne? Kim do cholery jest? Ale gdyby wszystko zawaliło się, to ma przecież Dorotę. Spotkał ją też dzięki niemu. Ona go chyba nie zawiedzie? Przyleciała do Hiszpanii, żeby się nim zająć! To już jest coś.

Spojrzał na zegarek. Do Gdyni zostały jeszcze tylko cztery

godziny. Byli już po polskiej stronie granicy. Westchnął i pomacał swój pas. Oto, z czego żyje. Ciekawe, jak szef odbierze przesyłkę, żeby się nie pokazać? Niech odbiera, jak chce. Na razie gra fair, więc on też będzie uczciwy. Ale zrobić się w konia nie da. Dlatego musi za wszelką cenę dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Tak - postanowił - zastanowię się, od czego zacząć, jak wrócę i trochę odpocznę.

Nie wiedział, od czego zacznie, ale podświadomie czuł, że było coś, co usłyszał, i na co powinien zwrócić uwagę.

Przypominał sobie całą akcję w Afryce. Wszystko, z wyjątkiem zdarzenia w Portstone, poszło zgodnie z planem szefa. Ale widocznie toczyła się jakaś gra między szefem a jego wrogami. Po to był mu potrzebny. Dlatego musiał eskortować Dorotę. Spisał się wtedy dobrze, ale zadanie afrykańskie było już bardziej niebezpieczne i o niebo trudniejsze. Kim byli jego prześladowcy i skąd wiedzieli, jak go śledzić aż do Afryki? Już mu nie przeszkodzą więcej. Chcieli go zastrzelić, więc zrobił to, co zrobił, w obronie własnej. Inaczej już by nie żył.

Poprawił się w fotelu, spojrzął jeszcze raz na Dorotę, uśmiechnął się i zasnął.

ROZDZIAŁ XVII

Po powrocie przewietrzył swój pokój solidnie, potem go posprzątał i poszedł się spotkać z Dorotą.

Była niedziela i piękna pogoda. Tak jak sobie wymarzył, spacerowali pod rękę po bulwarze. Zjedli obiad w restauracji Flauta i pojechali do Doroty. Kiedy siedzieli przy telewizji, odezwał się jego telefon.

- Jak wrócisz do siebie, weź w recepcji klucz do skrytki na dworcu. Wsadź tam to, co dla mnie masz, zamknij, i to wszystko. Masz parę tygodni wolnego. Pieniądze doszły? - głos szefa brzmiał jak zwykle.

- Doszły. Mam czekać na telefon, i to wszystko?

- Właśnie tak.

- Dobrze. Więc do usłyszenia.

Krzysztof spojrział na Dorotę.

- Szef - wskazał telefon - dał mi trochę wolnego.

- Dzięki Bogu.

- Tak, masz rację. Też mam tego dość. Ale wiesz, coś muszę załatwić. Potrzebuję kilku dni. To bardzo ważne.

- Wyjeżdżasz?

- Tak. Muszę coś sprawdzić.

- Chyba wiem co. Jak musisz, to jedź.
- Kochanie, pojedę jutro pociągiem. Zrobisz mi jakieś kanapki?
- A jak myślisz? - Cmoknęła go w policzek.

Stał, opierając się o porządne ogrodzenie z rur łączących kamienne, stylowe słupki. Plac wewnątrz wyłożony był tzw. kocimi łbami lśnącymi teraz w słońcu. Rozejrzał się wokół. W pewnej odległości stały piękne, nowoczesne domy, ozdobione neonami znanych banków i towarzystw ubezpieczeniowych. To miejsce, gdzie teraz stał, nazywało się Sienny Rynek i było najwyraźniej zabytkowe. Tu przywiózł go szofer taksówki, kiedy zażądał kursu do dzielnicy Piaski.

- Na Piaski, ale na jaką ulicę? - zapytał po przyjęciu od Krzysztofa zlecenia.

- No... gdzieś na środek dzielnicy - plątał się Krzysztof.

I tak wylądował przy Siennym Rynku.

Westchnął i ruszył w kierunku, jak mu się zdawało, środka miasta. Minął kilka ulic i stanął przy wielkim placu z napisem „Rynek Kościuszki”. Pośrodku stał jakiś zgrabny budynek z wieżą, na lewo znajdowała się ulica zamknięta dla ruchu kołowego, a na niej rząd poszatkowanych na style i kolory parasoli licznych restauracyjek i knajpek. Było ciepło i akurat wyszło zachodzące słońce. Przy stolikach pod parasolami zrobiło się zaraz tłoczno.

Minął ratusz i usiadł na stylizowanej na starą ławeczce. Patrzył z przyjemnością na domy i ludzi, i gdyby nie to, że przyjechał tu w konkretnym celu, chętnie posiedziałyby dłużej.

W stronę jego ławki zbliżał się jakiś mężczyzna. Nietrudno było zgadnąć, z kim ma się do czynienia. Kilkutygodniowy siwy zarost, brudne džinsy, żółta ortalionowa kurtka, a w ręku kilka starych reklamówek, w których – jak podejrzewał – były wybrane z koszy puszki i butelki, wszystko wskazywało na menela. Mógł mieć równie dobrze trzydzieści pięć lat, jak i siedemdziesiąt. Obszedł w kółko cały placyk, bez żenady zaglądając do pojemników i wyjmując jakieś „skarby”. Potem uśmiechnął się do siebie, usiadł dwie ławki dalej i zapalił znalezionego gdzieś peta.

Krzysztof spoglądał na niego życzliwie. Nagle wpadł na pewien pomysł, wstał i podszedł do mężczyzny. Usiadł na drugim końcu jego ławki. Nie patrzył w jego stronę, ale w pewnym momencie schylił się i udał, że coś podnosi. Wyciągnął rękę z pięciozłotówką: – Chyba wypadł ci pieniądz – powiedział.

Tamten nic nie odpowiedział, ale wziął pięciozłotówkę i szybko schował do kieszeni.

– Jak leci? – zagadnął Krzysztof. – Masz trochę puszek?

Tamten machnął tylko ręką.

– Też kiedyś zbierałem, ale los mi się odmienił – nie rezygnował Krzysiek.

Tamten popatrzył spode łba przekrwionymi oczami.

- No i co? Milion wygrałeś? - warknął.

- Niezupełnie. Ale jakoś z tego wyszedłem.

- Co, chcesz pogadać czy świadek Jehowy?

- Raczej to pierwsze. Nie jestem stąd i nikogo tu nie znam. Stąd jesteś?

- Od urodzenia, czyli od sześćdziesięciu sześciu lat.

- To znasz miasto... - raczej stwierdził, niż zapytał Krzysiek.

- Jasne, że znam. Nie zawsze byłem taki. - Wskazał na siebie ruchem ręki.

- Wiadomo. Ja też wylądowałem kiedyś na ulicy przez moją babę. Wiesz, jak to jest.

Milczeli dobrą chwilę.

- A znasz dzielnicę Piaski?

- Piaski? Kurde, tam się urodziłem i całe życie mieszkałem. Na ulicy Sportowej. Ale tej dzielnicy już nie ma. Wszystko zburzone i stoją nowe domy.

- A pamiętasz ludzi z tamtych lat, takich kozaków, wiesz. Piszę książkę i potrzebni mi jacyś charakterystyczni bohaterowie.

- Książkę, powiadasz. A nie jesteś pies?

- Nie jestem. Zresztą to historie sprzed prawie czterdziestu lat. Prawie dwa przedawnienia.

- Dwa przedawnienia powiadasz. Możemy pogadać. Ale chyba nie tutaj. Zobacz, czy mi nie wypadło jeszcze gdzieś z pięć dych i zaprowadzę cię na piwo. Tam spokojnie pogadamy.

Wstali z ławki i ruszyli szeroką ulicą w dół.

Dojechali tu autobusem z nowym kumplem, Mieciem. Krzysztof zdążył tylko zauważyć, że mijali białostocki dworzec kolejowy, na który tu przyjechał z Gdyni. Potem szli jakimiś podwórkami do tego starego, przedwojennego jednopiętrowego domu z rozpadającym się balkonem.

Na materacach i starej sofie siedziało ich wokół stolika pięciu. Razem z Krzysztofem. Na stoliku zwanym kiedyś „jamnikiem” stało kilkanaście piw marki Żubr i dwie otwarte butelki żytniej. „Cygan” był w wieku Krzysztofa, ale dwóch pozostałych, czyli „Długi” i „Biały”, dobrze po sześćdziesiątce. Byli już trochę na gazie i opowiadali różne ciekawe, jak im się zdawało, historie z dawnych lat. Jak byli młodzi i jak brali udział w wojnach dzielnic, kto jaką miał ksywę i kto za co poszedł siedzieć i na jak długo.

- Ale był jeden taki w latach sześćdziesiątych, rządził całym miastem - przypomniał sobie „Biały”. - Pamiętam, jak wyglądał. Byk, przystojniacha, ale tak w sześćdziesiątym dziewiątym go zamkli. Nie pamiętam, za co, bo był z Piasków, a ja z Mickiewicza, i się wtedy nie lubiliśmy.

- No i ch... z nim - wtrącił się bezceremonialnie „Cygan”.

- Wypijmy. Co tam wspominać. Mieciu, gdzie dałeś zakąskę?

- W kuchni na parapecie leży - powiedział Mieciu i „Cygan” natychmiast poszedł do kuchni.

Wtedy Mieciu objął Krzysztofa za szyję i wyszeptał mu do ucha: - Przypomniałem sobie ksywę tego kozaka z Piasków.

Przyciągnął głowę Krzysztofa jeszcze bliżej i powiedział mu coś na ucho. Ten, kierowany jakimś szóstym zmysłem, złapał nagle za przegub ręki „Cygana”, który pojawił się ze wzniesionym kuchennym nożem, wycelowanym w plecy Miecia. Zerwał się na równe nogi, uderzając dłonią „Cygana” z nożem w kant szafy. „Cygan” zawył z bólu i ze strachu, bo teraz czubek jego własnego noża naciskał mu niebezpiecznie skórę na szyi.

- Nie baw się tym, dzieciно - wysyczał Krzysztof - bo sobie krzywdę zrobisz. A w ogóle na mnie już czas.

Ruszył do wyjścia. W drzwiach, nie odwracając się, machnął nożem, który przemknął między głowami siedzących i utkwiał, drżąc, w drzwiach szafy.

Chłodne nocne powietrze było przyjemne i marsz przez uśpione miasto do luksusowego hotelu było prawdziwą przyjemnością. W barze na dole samotnie usiadł na wysokim stołku, budząc zainteresowanie pięknej hostessy stojącej za barem.

- Co pijemy?

- Może to. - Wskazał na zieloną butelkę z żółtą naklejką. - Podwójną!

- Dobry wybór. J&B. Ja też to pijam.

- No, to niech pani sobie naleje dla towarzystwa.

Pogadali jeszcze przez kilkanaście minut o wszystkim i o niczym, po czym opuścił rozczarowaną panienkę i zamówił pokój w hotelu, który był prawie pusty.

Zrzucił ubranie i padł na wielkie luksusowe łoże. Zapalił małą lampkę, po czym wystukał numer Doroty.

- No i co, kochanie, załatwiłeś, co miałeś załatwić?

- Częściowo. Miałem szczęście, a myślałem, że będę musiał zwiedzać całą ścianę wschodnią.

- To kiedy wracasz?

- Jutro sprawę postaram się zakończyć i jak będę miał fart, pojutrze wsiadam w pociąg do domu. To znaczy do twojego domu - zmieszają się.

- Może kiedyś do naszego?

- Może. Jak będziesz chciała. Co tam słyszeć w takim razie w naszym domu?

- Klara chyba wie, kto dzwoni, bo siedzi przede mną i się uśmiecha. No, Klara, mój jamnik.

ROZDZIAŁ XVIII

Janusz „Aplauz” Gaborski wstał w niezłym humorze. Przede wszystkim świeciło słońce. Ogolił się, chwycił płaszcz, aktówkę i zjechał windą na dół.

Pogoda była piękna, chodniki wysychały po nocnym deszczu, a Janusz po wczorajszych „ekscesach” (tych z lodami) w galerii postanowił pójść do pracy pieszo. Mieszkanie rodziców było niedaleko obecnego i kiedyś chadzał na piechotę do szkoły, to znaczy do VII Liceum Ogólnokształcącego, dokładnie czternaście minut. Co ciekawe, przez te kilkadziesiąt lat zdarzyło mu się iść parę razy pieszo do biura, czyli urzędu miejskiego, i wychodziło dokładnie też czternaście minut, choć urząd był w całkiem innym miejscu.

Szedł główną ulicą Lipową i myślał.

Jak to czas zmienił wszystko. Tylko bruk na Lipowej został ten sam, ale to tylko dlatego, że uznano go za zabytek. Janusz znał osobiście konserwatora zabytków i wiedział to na pewno. Sklepy na tej ulicy zmieniały branże kilkakrotnie, aż w końcu zostały tu banki, sklepy z telefonami i apteki. Wszystkie inne sklepy znikły.

Ale on świetnie pamiętał, co gdzie było za „jego” czasów. O, w tej bramie za księgarnią widać w podwórku parterowy

budynek, w którym nauczyciel przysposobienia wojskowego uczył ich tajemnic silnika samochodu marki Warszawa 223 (tej górnozaworowej). A tu, po drugiej stronie, kino Pokój. To tutaj Izabellę Scorupco, białostoczanekę, przywitał desant z helikoptera, kiedy zagrała w filmie *Golden eye* z Jamesem Bondem. Owszem, ładna ta Scorupco. Oczywiście pod warunkiem, że się nigdy nie widziało Marceliny.

Minął cerkiew, hotel Cristal i na wysokości fary skręcił na Planty. O, ta ławeczka!

„Ta ławeczka” wcale nie była tą ławeczką, o której myślał Janusz „Aplauz” Gaborski. Zmieniono ją już kilka razy, ale stawiano zawsze nową w tym samym miejscu.

„Aplauz” spojrział na zegarek – była za dwadzieścia pięć ósma, więc miał jeszcze dużo czasu.

- Aaa tam - powiedział do siebie i usiadł z impetem na ławce.

W tamten czerwcowy dzień, wczesnie rano, kiedy wracał z balu maturalnego, też tu właśnie usiadł. To znaczy usiedli z Katarzyną.

Katarzyna była z nim na balu maturalnym, i wstyd powiedzieć, ale poprosiła ją o to matka Janusza. Katarzyna mieszkała po sąsiedzku, w tej samej klatce i była na pierwszym roku medycyny. Matka wiedziała, że Janusz nigdy się nie odważy na taką propozycję, więc poszła sama i powiedziała, w czym rzecz.

Katarzyna była wysoką brunetką o pięknych, orzechowych

oczach, miała długą szyję, smukłą kibić i zgrabne nogi. Wydawała się Januszowi tak nieosiągalna, że dopiero gdy osobiście wyjaśniła mu, że to tylko sąsiedzka pomoc, jakoś oswoił się z tą myślą.

On w nowym, granatowym garniturze i koszuli z żabotem, ona w czerwonej minisukieneczce - razem wyglądali zjawiskowo. Koledzy z klasy nie mogli w to uwierzyć i zamiast mówić do niego jak zwykle „Aplauz”, przypomnieli sobie nagle, że ma na imię Janusz. Przez całą noc Katarzyna należała wyłącznie do niego i tylko czasami zgadzał się, żeby zatańczyła z kimś innym. W ogóle był to chyba jego najszczęśliwszy dzień w życiu.

Oczywiście do balu maturalnego z taką dziewczyną przygotował się odpowiednio, nie był frajerem, o nie! Kupił w przeddzień w Delikatesach paczkę papierosów caro i ćwiartkę wódki. Kiedy przyszedł już do domu i chciał schować swoje grzeszne zakupy w kieszeniach nowego garnituru, okazało się, że zamiast wódki kupił spirytus. Ale co tam. Jest przecież dorosły, więc ostatecznie wypije i spirytus.

W ferworze balu, przy swojej pięknej partnerce zapomniał na śmierć i o papierosach, i o spirytusie. I teraz, na tej ławce, siedząc z Kasią, namacał w wewnętrznej kieszeni marynarki niewielką butelkę. Zasmucony tym, że bal się już skończył i czas zmierzyć się z szarą rzeczywistością, wyjął z kieszeni papierosy, a butelkę postawił na ławce.

Kasia spojrzała na niego trochę przestraszona.

- Będziesz to pił?
- Jasne. Pod papierosa.
- Nie wiem, czy dobrze robisz.
- A tam, raz w życiu jest bal maturalny.

Odkręcił kapsel i pociągnął zdrowy łyk. Płynny metal w gardle pozbawił go oddechu i spowodował, że oczy wyszły mu na wierzch. Machając rękami, jakby tonął, patrzył błagalnie na Katarzynę. Ona, widząc, co się dzieje, krzyknęła:

- Janusz, spróbuj wziąć oddech!

Kiedy w końcu czerwony i ze łzami w oczach, ale już spokojniejszy, siedział obok niej, zaczęła chichotać jak opętana. Przytuliła jego głowę do piersi i powiedziała:

- Mój ty mężczyzno!

To było najpiękniejsze, co przeżył. Mógłby tak trzymać głowę do końca życia. Ale niestety trzeba było w końcu wracać do domu.

Wkrótce Kasia wyprowadziła się z sąsiedztwa i, jak słyszał od sąsiadów, wyjechała nawet z miasta. Pozostała tylko ta ławka i to wspomnienie.

Janusz westchnął i wstał. Spojrzał na zegarek – było pięć po ósmej. Wpadł w panikę, ale przypomniał sobie, że ma coś załatwić w biurze meldunkowym niedaleko stąd i skierował się w tamtą stronę.

Dziewczyny przy biurkach za barierką na jego widok wyprostowały się na krzesłach i powiedziały prawie chórem: „Dzień dobry”. Oderwał je od pracy, bo jakiś gość, zapewne klient, stał przy barierce.

- Niestety, nie ma tego pana w naszych kartotekach. Chyba się dawno temu wyprowadził. - Urzędniczka wstała, trzymając karteczkę, zapewne z nazwiskiem poszukiwanego, żeby zwrócić ją klientowi.

Dlaczego Janusz podszedł i wziął karteczkę nienależącą do niego, tego sam nie wiedział, kierował nim jakiś odruch. Przeczytał nazwisko na karteczce i zamilkł. Skonfundowana urzędniczka siadała przy swoim biurku.

- Pani Zosiu, pani ma tę listę, o którą panią wczoraj prosiłem? - rzucił w stronę jednej z kobiet.

Pani Zosia podniosła z biurka plik papierów w plastikowych okładkach i wręczyła go Januszowi.

Ruszył do drzwi razem z klientem. Przepuścił gościa, a już na korytarzu powiedział:

- Chyba znałem kiedyś tego pana. Chce pan o tym pogadać?

ROZDZIAŁ XIX

Krzysztof powrócił z podróży zamyślony, coś sprawdzał, zapisywał w notatniku. Kupił nowy laptop.

Spędzali z Dorotą czas tak, jak kiedyś planował. Siadywali na ławce na bulwarze, patrzyli na spacerujących ludzi. Czasem spoglądał na stojące na redzie kontenerowce i wspominał swoją podróż.

Telefon, ten telefon, nosił cały czas w kieszeni, ale coraz bardziej go ten przedmiot uwierał. Zresztą kupił drugi telefon, którego używał do rozmów z Dorotą.

Czego jeszcze będzie chciał szef? Jak to się skończy? Teraz, kiedy miał Dorotę, myślał coraz poważniej o stabilizacji, o jakiejś stałej pracy. Widywał też czasem bezdomnych zbierających puszki. Rozumiał ich, ale im nie współczuł. W swoim pokoju spędzał teraz niewiele czasu, właściwie przeniósł się do Doroty.

I gdy kiedyś tak siedzieli wieczorem na ławce, telefon zadzwonił. Krzysiek wziął go niechętnie do ręki.

- Garus, mam dla ciebie zadanie. W przyszłym tygodniu pojedziesz do Antwerpii w Belgii. Tam pójdziesz pod adres, który niebawem otrzymasz. Adresat jest mi coś winien i próbuje się wywinąć. Masz tam być dwunastego wieczorem. Dostaniesz klucze do jego domu i mieszkania. Dasz mu

kartkę ode mnie, ale będziesz czekał, aż ci da to, co do mnie należy. Jak będzie się ościagał, zmusz go, żeby to dał. Jak to odda, jedź z tą paczką na dworzec kolejowy. Schowaj do schowka, klucz zawieź do hotelu Falster i zostaw w kopercie w recepcji dla pana Jespera Hunnevalda. I możesz wracać do Polski. Tam, gdzie mieszkasz, weźmiesz od właściciela auto i tym autem pojedziesz. W skrytce będzie broń. Mam nadzieję, że nie będziesz się bał jechać z bronią.

- Nie będę. Ale jej raczej nie użyję.
- Nie musisz, jak go dobrze postraszysz.
- To wszystko?
- Tak. *Out.*

Dorota patrzyła na niego ze strachem. Telefon był dość głośny, pewnie wszystko słyszała.

- Nie jedź, Krzysiu, proszę cię. Skończmy z tym.
- A co byś powiedziała, jakbyśmy pojechali tam razem?
- ???
- Weź urlop na tydzień. Na przyszły tydzień. Mówiłaś przecież, że coś tam ci są winni.
- Dobrze. Pojedźmy razem.

Krzysztof zameldował się w swoim pokoju tego samego wieczoru. Właściciel zjawił się z kluczem do auta prawie natychmiast.

- Mam polecenie dostarczyć panu samochód. To dowód

rejestracyjny na mnie, a to ubezpieczenie. Auto stoi na podwórku.

Krzysztof zbiegł po schodach i wsiadł do pięknej, nowej srebrnej toyoty corolli. Ruszył ostro i skręcił w stronę Obłuża. Zaparkował pod oknami Doroty i wbiegł na piętro. Za chwilę oboje wyszli na balkon podziwiać auto, które miało ich wieźć taki kawał drogi.

Ruszyli o świcie w poniedziałek. Krzysztof dokupił jeszcze kable USB i wtyczkę do ładowania smartfonów i laptopa z zapalniczki. Rozwidniało się, kiedy wjechali na obwodnicę Słupska. Samochód mknął i zdawało się, że nie ma takiej prędkości, której by nie osiągnął.

Mijali czyste, kolorowe wsie i miasteczka i wydawało się, że nic nie powinno psuć dobrego nastroju, ale Krzysztof miał jakieś dziwne przeczucie, że coś tu nie gra. Kiedy zatrzymali się na kawę w przydrożnym barze pod Szczecinem, starał się odtworzyć dokładnie rozmowę z szefem i jego szczegółowe polecenia, ale do niczego nie doszedł.

Postanowił po prostu uważać. Tym bardziej że rano w schowku w aucie znalazł pistolet glock 43, dwa klucze i kopertę. Tę broń znał, ale był zły na siebie, że ktoś niezauważony wkłada mu do samochodu, co chce i kiedy chce.

Podróż przez Niemcy była nużąca – autostrady szerokie jak pasy startowe, żadnych ciekawych obiektów. Po kilku godzinach znaleźli się przy zjeździe na Antwerpię i wkrótce lawirowali wśród uliczek starego miasta. GPS doprowadził

ich w pobliże hotelu Falster.

Było tu wiele maleńkich, zaledwie kilkupokojowych hotelików. Wybrali dla siebie jeden z nich o nazwie The Black Swan. Hotelik miał okna na uliczkę i na podwórko, na którym pozwolono im zaparkować auto. Byli bardzo zmęczeni, więc natychmiast poszli spać.

Na drugi dzień Krzysztof z Dorotą znalazł się w pobliżu miejsca, w którym miał wykonać zlecenie. Przeszli stare śródmieście, dworzec kolejowy i szeroki deptak zastawiony różnokolorowymi parasolami, które przypominały to, co ostatnio widział w Białymstoku. Pod wysokim wiaduktem kolejowym, przez który co chwilę przetaczały się miejskie kolejki, mieściły się dziesiątki sklepów i sklepików z napisami informującymi, że tutaj można oszlifować drogie kamienie, kupić i sprzedać biżuterię.

Dom z „jego” numerem to była wąska dwupiętrowa kamieniczka z dwoma sklepami po obu stronach drzwi wejściowych. Spojrzał na zegarek - od wyjścia z hotelu upłynęło zaledwie trzydzieści pięć minut. Postanowił przyjść tu pieszo. Drzwi wejściowe były zamknięte, nie miały klamki na zewnątrz, tylko pojedynczy dzwonek.

Dwunasty, to było dzisiaj.

- Dorotko, wieczorem muszę wyjść. Trzymaj auto w pogotowiu, spakuj nasze rzeczy do bagażnika, tak żeby nic nie zostało w pokoju do ewentualnej identyfikacji. Jak pójdę, zapłać rachunek, wsiadaj w auto i przyjeźdź tutaj. Położył na stole mapkę miasta z zaznaczonym na czerwono miejscem.

- Boże, dobrze, ale trochę się boję.

- Jak wszystko dobrze pójdzie, odpocznimy tutaj jakiś czas. Hotelik nazywa się Happy Hours i jest trochę podobny do tego tu. Zamówiłem tam pokój na nazwisko Bob Tucker.

Glocka wsadził za pasek, klucze i kopertę od szefa do kieszeni. Portfel zostawił Dorocie, dwieście euro w drobnych banknotach wziął ze sobą i wyszedł na ulicę.

Był chłodny wieczór, niewielu ludzi chodziło po ulicach, więcej siedziało w barach. Na miejscu był dokładnie o dwudziestej drugiej. Światło paliło się tylko na pierwszym piętrze. Stał nie naprzeciwko domu, tylko pięćdziesiąt metrów dalej, w stronę dworca. Chciał wejść tam za godzinę. Obserwował spokojnie ulicę i budynek, starając się wszystko dokładnie zapamiętać. Po stronie domu stały dwa samochody - jeep i kanciaste stare volvo 740.

Krzysztof już od dziesięciu minut stał nieruchomo i patrzył, gdy nagle volvo zakołysało się, jakby ktoś w nim się poruszył. Patrzył jeszcze przez chwilę, ale nic się więcej nie działo. Wycofał się za róg najbliższego domu i ruszył w kierunku automatu z kawą.

Stał za automatem z papierowym kubkiem w ręku i siorbał szybko stygnącą ciecz. Za dziesięć jedenasta ruszył w stronę domu. Zbliżył się do niego na około pięćdziesiąt metrów. Światło na pierwszym piętrze paliło się w dalszym ciągu. Jeep przed domu zniknął, za to volvo stało bez zmian. Przeszedł na drugą stronę ulicy, skręcił do drzwi i błyskawicznie umieścił klucz w zamku. Zamek cicho

szczęknął, Krzysztof wszedł szybko do środka i zatrzasnął drzwi. Stał chwilę w ciemności na klatce, potem namacał, że drzwi od wewnątrz posiadały klamkę.

Schody były stare, drewniane, z rzeźbionymi tralkami i poręczą. Tak jak uczyli w wojsku, Krzysztof wspinał się po schodach, stawiając stopy tuż przy ścianie, żeby uniknąć skrzypienia starego drewna. „Jego” drzwi na pierwszym piętrze nie były w ogóle zamknięte na zamek. Nacisnął klamkę i wszedł. Poczłł intensywny zapach papierosów i kawy. Zajrzał do pokoju. Odwrócony tyłem do niego siedział przy biurku barczysty mężczyzna. Był ubrany w bonżurkę, a jego wygolona czaszka rzucała na podłogę upiorny cień.

Gospodarz nie zdążył się odwrócić, kiedy poczuł między łopatkami lufę pistoletu.

- *Shut up, and read it!* - Krzysztof rzucił mu na biurko list szefa.

Przestraszony mężczyzna opuścił podniesione automatycznie ręce, poprawił okulary i wziął do rąk pismo. Czytał chwilę i ręce zaczęły mu drżeć.

- *That only delay, sir. Please don't kill me! I've got ready your packet, sir! May I stand up?*

- *OK. Carefully. Don't do anything stupid!*

Mężczyzna wstał, nie odwracając się, i podszedł do ściany po prawej stronie. Pokręcił kółkiem na niezamaskowanych niczym drzwiach kasy pancерnej. Krzysztof odsunął go od kasy, kiedy grube drzwi się otworzyły. Wewnątrz na dole

leżał wielki colt i kajdanki, na półce obita czerwoną skórą prostokątna kasetka, dziesięć na dwadzieścia centymetrów.

- *That's it. Nothing's missing!* - Facet wskazał brodą pakunek.

- OK. - Krzysztof pchnął go w stronę okna. Zapiął mu na nadgarstkach kajdanki przełożone wokół rury kaloryfera.

- *Sit down on the floor!* - warknął.

Chwycił z biurka rolkę szerokiej, srebrnej taśmy samoprzylepnej. Zakleił mu usta i owinął dla pewności taśmę raz wokół głowy.

- *If you do not keep quiet the next half an hour, I will come back to kill you! Understand?*

Facet kiwnął głową i zamknął oczy. Krzysztof sprawdził, czy kasetka jest zamknięta, i wsadził ją sobie za pazuchę. Sprawa była załatwiona, ale coś nie dawało mu spokoju.

Wyszedł cicho na klatkę, zamknął drzwi i przez chwilę nic nie widział. Całkiem na oślep, wiedziony jakimś niepohamowanym instynktem, wymierzył nokautujący lewy prosty w ciemność, mniej więcej na wysokości swojej głowy. Rozległ się dźwięk kotleta schabowego bitego na desce i czyjeś ciało potoczyło się w dół po stromych schodach. Krzysztof zbiegł za nim, gotowy do dalszej walki, ale nienaturalnie skrzyżowany kształt leżał nieruchomo, trzymając w dłoni wojskowy bagnet. Krzysztof przeskoczył ciało i po chwili drzwi wejściowe zatrzęsły się za nim.

Spróbował otworzyć parkujące przed domem volvo. Drzwi

nie były zamknięte, a w popielniczce dymił jeszcze niedopałek papierosa.

Przeszedł szybko trzy uliczki i zamachał na taksówkę. Podał nazwę ulicy niedaleko hotelu Happy Hours.

Dorota czekała w barze przy recepcji. Dyskretnie wziął ją pod rękę i poszli schodami na pierwsze piętro, do pokoju. Spojrzał na zegarek - była dopiero dwudziesta trzecia czterdzieści pięć.

- To co, Dorotko, mamy szampana w lodówce?

- Mamy nie tylko szampana. Jest jeszcze parę pysznych kanapek.

Spali do jedenastej. Potem zjedli śniadanie, poszli na dworzec kolejowy, gdzie Krzysztof zostawił Dorotę w jakimś eleganckim butik, a sam schował paczkę do skrytki. Klucz umieścił w kopercie, na której napisał „Jesper Hunnevald”. Po wszystkim wrócili do hotelu.

Godzinę później zwawa corolla, z GPS-em nastawionym na hotel Falster, wiozła ich słoneczną autostradą na wschód. Powrót zajął im dwa dni. Zatrzymali się w jakimś drogim motelu i odpoczywali ile wlezie. Tylko spanie, jedzenie i spacer po lesie, nad brzegiem jeziora.

Telefon jak zwykle naładowany tkwił cały czas w kieszeni i czekał na nowe zadania.

ROZDZIAŁ XX

Po powrocie do Gdyni pojechali od razu do Doroty. Solidnie odpoczęli, bo Dorota miała jeszcze wolne. Rano, jak w starym małżeństwie, ona zrobiła śniadanie, a on wyszedł z psem.

Potem pojechał na Grabówek zwrócić auto. I kiedy jechał, zadzwonił telefon szefa.

- Garus, jeśli się zgodzisz, to możesz wziąć to auto jako honorarium za ostatnią akcję. Poszło bez kłopotów? - Ton szefa był jakby trochę niepewny.

- Bez. Zgadzam się na samochód. Jak to załatwimy?

- Zaraz przelewam pieniądze na konto właściciela. Podpiszecie normalną umowę kupno-sprzedaż. I dostaniesz drugie klucze do auta. Trochę poczekaś na następne zlecenie.

- Jak długo?

- Może nawet kilka tygodni. *Out.*

Te dwa tygodnie spędzili jak na wczasach. Dorota wracała z pracy, a on już miał naszykowaną trasę wycieczki, co i gdzie zobaczą. Pojechali autem na Mierzeję Wiślaną, do Krynicy Morskiej, potem do Malborka i Fromborka, a nawet popływali statkiem po Kanale Elbląskim. Potem Dorota

wzięła parę dni wolnego i za pomocą Internetu zaznaczyli na mapie Polski południowej, co zwiedzą w następnej kolejności: Kraków, Łańcut, Solinę, a po drodze do domu Nieborów i Żelazową Wolę.

Gdy byli w drodze do Warszawy, odezwał się telefon szefa.

- Garus, jeśli w pobliżu są jacyś ludzie, to się od nich oddal i zadzwonię za pięć minut. To zbyt poważne, żeby ryzykować.

Zjechał na przydrożny parking i zostawił Dorotę rozpakowującą jedzenie, a sam usiadł na ławce pięćdziesiąt metrów dalej. Telefon odezwał się po chwili.

- Ta sprawa jest najpoważniejsza, ale dostaniesz za nią sto tysięcy dolarów.

- Tak. Co to takiego?

- Trzeba kogoś sprzątnąć. Sprzątnąć, czyli pozbawić życia. Masz tego glocka? - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Tak. Mam. - Krzysztof był zaskoczony. - Kogo trzeba sprzątnąć?

- To wredna, dość znana postać. To znaczy kiedyś było o nim trochę słyhać. Wlazł mi w paradę i nie mam wyjścia. Wszystkie dane: nazwisko, adres, telefony, dostaniesz, jak się zgodzisz. - Szef zawiesił głos. - Co ty na to?

Po kilkunastu sekundach Krzysztof powiedział:

- Potrzebuję czasu do namysłu.

- Ile?

- Jeden dzień. Szef zadzwoni jutro, o tej porze.

Na drugi dzień o umówionej godzinie czekał na ławce na bulwarze w Gdyni. Pogoda była zimna i wietrzna, spacerujących niewielu, na ławkach nie siadał nikt.

Telefon odezwał się, jak było umówione.

- No i co? - Głos szefa brzmiał beznamiętnie, jakby miał wielu chętnych do wykonania tego zadania i jakby Krzysztof nie robił mu żadnej łaski.

- Przemyślałem to. Zgadzam się, ale pod jednym warunkiem.

- Tak?

- Pieniądze z góry i w gotówce.

- Daj mi pomyśleć. Na to potrzebuję jednego albo nawet dwóch dni. Dziś mamy poniedziałek. Zadzwonię w środę o tej porze. Wstępnie się zgadzam. Pozostają problemy natury bankowej. Jak załatwię wszystko i dostaniesz forszę wcześniej, nie czekaj na telefon. I jeszcze jedno - załatw to w sobotę koło dwudziestej trzeciej. On od lat wraca w soboty o tej porze ze spotkania ze swoim towarzystwem.

- Dobrze.

- Potrzebne ci dane będą razem z pieniędzmi.

- Dobrze. Jeszcze jedno, dostarcz mi dwie pary kajdanek.

- Po co ci kajdanki?

- Myślę, że facet ma jakąś ochronę. A jeden trup wystarczy.

Po drugiej stronie rozległ się krótki śmiech.

- Jasne. Masz fantazję, Garus. *Out.*

ROZDZIAŁ XXI

Podkomisarz Adam Paciorek szedł wielkim korytarzem Komendy Wojewódzkiej w Białymstoku z teką starych akt pod pachą. Był najlepszy w przeszukiwaniu starych spraw i pewnie dlatego inspektor Kaputek wyznaczył go do tego zadania. A zajął się tym, bo zadzwonił podobno jakiś jego bardzo ważny znajomy i chciał się czegoś dowiedzieć właśnie o sprawie sprzed lat.

Paciorek do wszystkich takich zadań podchodził jak najpoważniej, a miał oprócz genialnej pamięci jakiś szósty zmysł, który wiódł go nieomylnie do meritum sprawy. Archiwum akt dawnych miał w głowie, trafiał zawsze i nieomylnie do poszukiwanych papierów czy dowodów. Jego talenty były doceniane i pomimo stosunkowo młodego wieku był już podkomisarzem.

Tym razem trafiła mu się sprawa z lat sześćdziesiątych, kiedy miasto składało się ze starych dzielnic z drewnianą zabudową, z ulic brukowanych kocimi łbami i było „rządzone” przez gangi, a właściwie bandy przestępców łączących kryminalny charakter z mołojecką sławą.

Szedł więc podkomisarz Paciorek do inspektora Kaputka i pogwizdywał wesoło, bo oczywiście nie byłby sobą, gdyby dokładnie nie spenetrował niesionych akt.

A było co czytać. Sprawa dotyczyła jednego z najślawniejszych w drugiej połowie lat sześćdziesiątych podejrzanych. Chodziło o przemyt z Rosji diamentów w ilościach hurtowych. Wszystkie dane prowadziły do podejrzanego i wstępnie go zatrzymano, ale po kilku miesiącach przesłuchań Milicja Obywatelska musiała go zwolnić z braku dowodów. Obserwowano go jeszcze, ale nie podpadł w niczym, zresztą w końcu złapano cały gang przemytników, z którym podejrzany nie miał nic wspólnego.

Ale to nie było najważniejsze. Paciorek trafił na nazwisko swojego „podejrzanego” sprzed lat w całkiem innej sprawie, i to dwa miesiące temu. Co ciekawe, tu też chodziło o diamenty. Adam Paciorek, mający wspaniałą pamięć do twarzy i nazwisk, był pewny, że to ten sam człowiek.

Dotarł do drzwi gabinetu inspektora Kaputka, bez pukania (niósł akta oburącz i nie miał czym zapukać) nacisnął łokciem klamkę i wszedł, po czym na „okolicznościowy” stolik, który byczył się pod wielką palmą w towarzystwie trzech foteli, wywalił wszystko, co zebrał. Otarł pot z czoła i spojrzał na rozmawiającego przez telefon Kaputka. Inspektor podbródkiem wskazał mu fotel i odłożył słuchawkę. Usiedli obaj wygodnie i spojrzeli na stertę papierów. Pierwszy odezwał się Paciorek:

- Podejrzany jest czysty. To znaczy był czysty, jak wynika z papierów, wtedy, kiedy milicja go zatrzymała. Nie mieli nic, żadnych dowodów. Potem wzięli go do wojska i, jak wynika z dokumentów, został na zawodowego. W każdym razie

zniknął nam z oczu. I dopiero dwa miesiące temu, co już znalazłem w komputerze, pojawił się znowu. W całkiem innej sprawie. Jego była żona wezwała policję. Mieszkała od lat oddzielnie, ale nagle przypomniała sobie, że nie wzięła jakiegoś tam szczegółu biżuterii. Bała się byłego męża i chciała wejść do niego do domu w asyście policji. Umówili się z mężem telefonicznie i w asyście dwóch policjantów weszli do jego willi na przedmieściach. Był grzeczny i nie wyglądało na to, żeby wizyta stanowiła dla niego jakiś problem. Okazało się, że jego była żona schowała pierścionek w jakiejś puszcze w garażu. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że brylant był trzyipółkaratowy, czystej wody, co stanowiło sporą wartość nawet na tak zamożnego człowieka jak wizytowany. Ponad milion nowych złotych. To wszystko, czego się dowiedziałem.

- Adaś, nie chce mi się w tym grzebać, daj mi tylko adres i dane tego człowieka. Jeden stary znajomy, ale teraz „wajpi”, mnie o nie prosił. Oczywiście służbowo mnie prosił, coś do niego mają.

- OK. Oczywiście. Ale prosiłbym o pozwolenie zajęcia się tym panem z powodów czysto praktycznych.

- ???

- Urząd skarbowy ma do niego jakieś „ale”.

- Urząd skarbowy ma swoich ludzi.

- Tak, ale oni twierdzą, że to działalność kryminalna. Wiesz, jak to jest.

- Dobrze, dostaniesz pozwolenie na obserwację.
 - I na podsłuch telefonu.
 - Z tym to już do prokuratora. Adaś, nie wymagaj ode mnie za wiele.
 - Dobrze. Dziękuję. Jak będę coś ciekawego wiedział, to się zgłoszę.
- Zgarnął z powrotem stos akt i wyszedł z gabinetu Kaputka.

ROZDZIAŁ XXII

Po powrocie do domu Doroty powiedział, że następny dzień musi spędzić na Morskiej, bo czeka na jakąś przesyłkę. We wtorek wieczorem rozległo się pukanie i właściciel wręczył Krzysztofowi dyplomatkę i kopertę.

Zamknął drzwi na klucz i otworzył kopertę. Był w niej klucz do walizeczki. Po chwili patrzył na równe pliki nowych studolarówek. Otworzył kopertę leżącą na pieniądzach. Był tam adres podwarszawskiej miejscowości oraz imię i nazwisko skazanego.

Lipkę pamiętał jak przez mgłę z telewizji – widział go chyba kiedyś, ale nie pamiętał w jakim kontekście. Spakował wszystko na powrót do dyplomatki i pojechał do Doroty. Nie było jej w domu, ale miał klucz, więc czekał na nią w fotelu, kiedy wróciła z pracy.

- Dorotko, nie pytaj o nic, tylko zadbaj o to - otworzył wieko walizeczki.

- O Boże! W coś ty się wplątał? Skąd taka masa pieniędzy? Takich pieniędzy nie dają za nic.

- Nie dają. Ale ryzykowałem życiem i coś się za to należy. Zadbaj o to, a jak wrócę, nie będę już się w to bawił. Sprzedamy twoje mieszkanie i kupimy domek w innej dzielnicy.

Krzysztof wyruszył w stronę Warszawy w sobotę rano. Ubrał się w starą skórzaną kurtkę o wielu kieszeniach, w których zmieścił się „kozik”, dwa telefony i dwie pary kajdanek. Glocka wsadził za pasek z przodu. Oprócz tego wziął samochodowy ekspres do kawy zasilany z zapalniczki, a Dorota zrobiła mu kilka kanapek.

Podróż zajęła mu cztery i pół godziny, w końcu skręcił na drogę prowadzącą do wskazanego przez szefa domu. Droga omijała budynek w odległości może dwustu metrów. Stał w kępie drzew. Krzysztof minął go, nie skręcając, i jechał jeszcze około pięciuset metrów, aż wjechał w bukowo-sosnowy las. Tam skręcił po prostu między drzewa w lewo i tak jechał, mijając drzewa i krzaki, aż zobaczył znowu ten dom. Ogrodzony był ze wszystkich stron murem, ale pomiędzy drzewami widać było pierwsze piętro i stromy, czterospadowy dach.

Było już popołudnie, dzień był pochmurny i szybko robiło się ciemno. Krzysztof zjadł resztę kanapek, nastawił budzik w zegarku na wpół do jedenastej i wyciągnął się na siedzeniu. Kiedy budzik zaterkotał, wysiadł z auta i zrobił parę pompek. Potem włączył ekspres i zaparzył mocnej kawy. Kiedy wypił kawę, była za dziesięć jedenasta.

Sprawdził, czy ma wszystko, czego będzie potrzebował, zamknął auto i ruszył w stronę domu. Schował się w krzakach dwadzieścia metrów od bramy. Czekał cierpliwie. W domu na pierwszym piętrze w dwóch oknach

zapaliły się światła.

Pięć po jedenastej zamigotały z dala na drodze samochodowe światła. Wielki porsche cayenne podjechał do bramy i zatrzymał się. Oświetlona reflektorami brama sterowana pilotem przez kierowcę zaczęła się z hałasem odsuwać. Jednym skokiem Krzysztof znalazł się tuż za samochodem. Kiedy auto ruszyło, wbiegł, trzymając się zderzaka, przez bramę, a kiedy samochód przyspieszył, jadąc w stronę domu, uskoczył w bok za grube drzewo.

Stał tak, czekając, aż samochód znajdzie się na podejździe przed wejściem i zgasi światła. Trwało to dziesięć minut. Od małego domku z boku willi oderwał się cień ochroniarza. Zwalisty kształt szedł po wyznaczonej trasie wzdłuż muru, co chwilę coś tam oświetlając. Upłynęło kilka minut, zanim obszedł posesję i pojawił się znów przy domku, w którym zniknął.

Krzysztof ruszył w stronę budynku. Wiedział, że drzwi są najprawdopodobniej zamknięte na klucz, więc postanowił obejść dom wokół i mu się przyjrzeć.

Na zapleczu znalazł dość duże okno do piwnicy, które wyglądało obiecująco dla każdego włamywacza. Wybił najmniejszą szybkę w oknie, starając się stłumić rękawem dźwięk pękającego szkła. Wsadził rękę do środka i przekręcił zamek.

Okienko odchyliło się od dołu i wkrótce Krzysztof znalazł się w ciemnej piwnicy. Poczekał chwilę, aż mu się wzrok przyzwyczai do ciemności, i świecąc maleńką latareczką,

wspiął się po schodach.

Drzwi na parter były zamknięte tylko na klamkę. Znalazł się w niewielkim hallu ze schodami prowadzącymi do góry, na pierwsze piętro. Otworzył dwa patentowe zamki drzwi wejściowych i nacisnął klamkę. Drzwi uchyliły się. Zamknął je tylko na klamkę.

Schody były murowane, z kutą poręczą. Na podeście pierwszego piętra było czworo drzwi. Krzysztof ostrożnie zajrzał przez dziurki od klucza - światło było tylko w dwuskrzydłowych drzwiach na wprost schodów.

Gruby mężczyzna o nienaturalnie długich rękach spojrzał na niego zaskoczony, a kiedy zobaczył lufę glocka, wpadł w przerażenie. Podniósł ręce do góry i milczał, patrząc jak zahipnotyzowany na lufę pistoletu.

- Lipka? - spytał Krzysztof.

- Lipka, Stefan Lipka. - Głos wyraźnie drżał.

- Wolę spytać. Prywatnie nic do pana nie mam. Dostałem zlecenie.

- Zlecenie na co? - Lipka nie miał złudzeń, jaką usłyszy odpowiedź.

- Oczywiście mam pana zabić.

- Błagam, mam pieniądze, znajomości, wszystko, co pan chce.

- Dobra, na razie siadaj pan na tym tronie! - Krzysztof

wskazał ciężkie gdańskie krzesło. - I żadnych głupich ruchów.

Lipka usiadł ciężko na krześle, a Krzysztof podszedł bliżej.

- Prawa ręka! - warknął, przypinając kajdankami przegub Lipki do grubej na parę centymetrów poręczy krzesła.

- Teraz bierz pan telefon i wyślij pan ochronę do domu. Powiedz pan, że będzie impreza i nie chce ich pan tu widzieć. Ilu ludzi jest dzisiaj?

- Czterech. - Lipka wystukiwał jakiś numer na telefonie trzymanym przez Krzysztofa.

- Panie Zenku! Niech pan bierze ludzi i jedźcie do domu. Macie wolne. Zaraz tu będzie impreza, nie będziecie mi potrzebni. - Słuchał przez chwilę. - Tak, w poniedziałek wystarczy, jak będziecie.

Krzysztof przypiął mu drugą rękę drugą parą kajdanek do lewej poręczy. Zgasił światło i tylko lampka na biurku teraz świeciła.

- Kto jest jeszcze w domu?

- Moja żona. Ale ona nie budzi się przed dziesiątą. Bierze tabletki.

Krzysztof podszedł do okna i patrzył przez chwilę na samochód ochroniarzy, a kiedy światła auta zniknęły, a brama się zamknęła, odwrócił się do Lipki.

- Gdzie pan ma pilota do bramy?

- Na biurku. Taki malutki, razem z kluczami do auta.

Wziął klucze z biurka i znów podszedł do okna. Wycelował w bramę i nacisnął brelok. Pomimo dużej odległości brama drgnęła i się otworzyła.

- Nic więcej od pana nie chcę.

- Teraz mnie pan zabije?

Krzysztof milczał. Przeciągnął fotel od małego stolika do biurka i na nim usiadł. Siedział teraz twarzą do Lipki i tyłem do drzwi. Siedzieli tak milcząc jeszcze pięć minut. Wtedy Krzysztof wyszarpnął glocka zza paska i kierując lufę w stronę Lipki, oddał dwa strzały.

Lipka sflaczał i zwiśł na swoim fotelu, ale kule utkwiliły nie w jego głowie, tylko obok, w oparciu fotela. Sekundę potem rozległ się szmer przy drzwiach.

Krzysztof, nie odwracając się, powiedział:

- Obywatelu sierzancie, melduję wykonanie zadania.

Do gabinetu wszedł wysoki, postawny mężczyzna o siwiejących włosach. Miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu i dobrze ponad sto kilo wagi.

- Garus, skąd wiedziałeś?

- W końcu się domyśliłem. Za późno, ale dobrze, że w ogóle. Jak się dowiedziałem od tego menela pańskiej ksywy, wystraszył się pan i chciał mnie sprzątnąć w Antwerpii, nie? Wysłał pan płatnego zabójcę za mną, ale jakoś się obroniłem. Wtedy straciłem do pana resztkę sympatii. A co ten panu zrobił? - Wskazał brodą Lipkę

wiszącego w fotelu.

Sierżant milczał i stał wpatrzony w Garusa.

- Powiem panu, sierżancie. On ożenił się z pana narzeczoną, nieprawdaż? To wystarczyło, żeby pan wydał na niego wyrok. Ale wyroku nie wykonałem, panie Tygrys. Taką pan miał ksywę, nie? Lipka tylko zemdłał ze strachu. Spotkałem kogoś w pańskim mieście, kto mi wszystko opowiedział. Zamknęli pana za coś tam i pańska narzeczona się pana nie doczekała. Potem wzięli pana do wojska i tam się spotkaliśmy, obywatelu sierżancie. Potem się rozstaliśmy na długo, aż w końcu ja znalazłem się na dnie, a pan został milionerem. Odnalazł mnie pan, bo mnie pan potrzebował. Robiłem wszystko uczciwie, ale człowiek nie lubi być manipulowany. Kiedyś pan przez telefon powiedział: „Dziękuję wam”. Dokładnie jak w wojsku. Wtedy zacząłem węszyć. I wywęszyłem. Powinien pan być zadowolony, nie będzie pan oskarżony za podżeganie do zabójstwa.

W tym momencie „Tygrys” z rykiem ruszył na Garusa. Ćwiczył walkę wręcz codziennie z najlepszymi trenerami. Postanowił uderzyć go zewnętrzną krawędzią stopy w twarz, ale stopa nie trafiła na spodziewany opór, za to została oburącz złapana i wykręcona do wewnątrz. „Tygrys” krzyknął z bólu i zwałił się całym ciężarem stukilogramowego ciała, uderzając głową w krawędź biurka. Opadł nieprzytomny na dywan.

Garus odskoczył, ale przeciwnik się nie ruszał. Sprawdził mu tętno na szyi - było dosyć mocne. Wytarł pistolet

w serwetkę z biurka i rzucił go na podłogę. Zbiegł po schodach do piwnicy. Wydostał się znaną drogą przez okienko, pokonanie muru zajęło mu pół minuty.

Droga do samochodu trwała z piętnaście minut. Nie zapalając świateł, wyjechał z lasu, a po dwudziestu minutach włączył radio i zapalił światła. Skręcił na północ.

Na pierwszym postoju zadzwonił do Doroty.

- Kochanie, już po wszystkim. Będę nad ranem w domu. Mam się dobrze.

- Cieszę się. Tym bardziej że będziesz ojcem.

ROZDZIAŁ XXIII

Podkomisarz Paciorek tkwił w krzakach pod tym domem już godzinę. Nie lada wyczynem było przyjechać tu z Białegostoku swoim prywatnym passatem za jaguarem Wojciecha Tygrowicza o ksywie „Tygrys” – prawie dwieście kilometrów i nie gubiąc ściganego.

Paciorek pojechał swoim samochodem, bo nie było już czasu na nic innego, kiedy pilnujący domu Tygrowicza aspirant zadzwonił, że śledzony jedzie w pośpiechu, kierując się na drogę do Warszawy. Na szczęście był wieczór, a jaguar miał z tyłu dość charakterystyczne światła pozycyjne. Teraz ścigany samochód skręcił na tę boczną drogę i jechał w stronę ciemnej kępy drzew, okalającej wielką willę, w której na pierwszym piętrze paliło się światło.

Jaguar zatrzymał się przed otwartą bramą domu, a potem wycofał, zawrócił. Odjechał kilkadziesiąt metrów i zaparkował na poboczu. Tygrowicz wysiadł z auta i, skradając się, zniknął za bramą.

Paciorek siedział za kierownicą swojego passata i nie ruszał się. Upłynął już jakiś czas od zniknięcia Tygrowicza, kiedy nocną ciszę rozdarły dwa stłumione strzały.

Paciorek cicho zatrasnął drzwi swojego auta i podkraść się pod bramę willi.

Światła dalej paliły się na pierwszym piętrze. Drzwi wejściowe były zamknięte tylko na klamkę. Podkomisarz wyjął z kabury służbowy pistolet i odbezpieczył go. Ostrożnie wszedł na pierwsze piętro. Przez uchylone dwuskrzydłowe drzwi zobaczył leżącego na podłodze potężnego mężczyznę, a nad nim cucącą go, zapłakaną, piękną kobietę. Za biurkiem na gdańskim fotelu siedział gruby, goryłowaty gość, przykuty do poręczy za obie ręce.

Tygrys dostał tylko rok do odsiadki za oszustwa skarbowe i nic więcej. Marcelina odeszła od Lipki i wynajęła mieszkanie w Białymstoku, gdzie siedział jej ukochany. Przychodziła na każde widzenie, a kiedy odsiedział cały wyrok, zamieszkali razem i byli bardzo szczęśliwi.

Dorocie i Krzysztofowi urodziły się bliźnięta - Jaś i Małgosia. Kupili domek z ogródkiem.

Rok później Krzysztof otworzył biuro pod szyldem „Detektyw Kris”. Skrócił swoje imię w nazwie biura, bo zawsze mu się wydawało ono za długie. Został detektywem. Stwierdził, że tylko do tego się nadaje.

I najważniejsze - podkomisarz Paciorek awansował na komisarza.

Detektyw Kris. Wzlot

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-442-2

© Piotr Trzebuchowski i Wydawnictwo Novae Res 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Iwona Gądek

KOREKTA: Alicja Januszkiewicz

OKŁADKA: Artur Rostocki

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl,
<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

